

KRAINA MROKU

Przełożyła: Stefania Szczurkowska

Rozdział I

Ogień w nocy

Na tle coraz to ciemniejszego nieba, po jego północnej stronie, snuła się wąska smuga dymu. Znowu poczułem irracjonalny strach popychający mnie do panicznej ucieczki, towarzyszący mi już od dłuższego czasu. Wiedziałem, że nie ma powodu się bać. To przecież tylko dym unoszący się ponad zagubioną pośród bagien miejscowością Limberlost, niecałe osiemdziesiąt kilometrów od Chicago, gdzie człowiek odrzucił przesady, by zastąpić je potężnymi okowami ze stali i betonu.

Zdawałem sobie sprawę, że to tylko wiejskie ognisko, a jednak wiedziałem, że nie. Coś głęboko na dnie mojej świadomości poznało, skąd unosi się dym i kto stoi przy ogniu, bacznie spoglądając w moją stronę poprzez drzewa.

Obejrzałem się, przebiegając wzrokiem poobwieszane ściany - półki dźwigające przypadkowe plony złodziejskich skłonności mego wuja kolekcjonera. Inkrustowane fajki do opium, srebrne i złote hinduskie figury szachowe, miecz...

Odezwały się we mnie ponure wspomnienia, ożył paniczny strach. Zrobiłem dwa kroki i już byłem przy mieczu. Ściągałem go ze ściany, mocno zaciskając dłoń na rękojeści. Nie w pełni świadomy tego, co robię, znowu znalazłem się naprzeciwko okna, zwrócony twarzą w stronę odległego dymu. W rękę ścisnąłem miecz, ale nie było mi z nim dobrze - nie miałem poczucia bezpieczeństwa, jakie powinien dawać miecz.

- Spokojnie, Ed - usłyszałem za sobą niski głos wuja. - Co się dzieje? Wyglądasz dziwnie.

- To nie ten miecz - usłyszałem siebie, mówiącego bezradnie

Potem coś jakby mgielka odpłynęło z mojego mózgu. Spojrzałem tępo na wuja, zastanawiając się, co się ze mną dzieje.

- To nie jest ten miecz - odpowiedział mój głos. - Tamten powinien pochodzić z

Kambodży. Powinien być jednym z trzech talizmanów Króla Ognia i Króla Wody. Trzy najważniejsze talizmany: wciąż świeży owoc cui zerwany w czasie potopu, gałąź kwitnącej palmy, która nigdy nie więdnie, i miecz Yana, ducha opiekuńczego.

Wuj spojrzal na mnie z ukosa poprzez dym z fajki. Pokiwal głową.

- Zmienileś się, Ed - powiedział tym swoim niskim, łagodnym głosem. - Bardzo się zmienileś. Sądzę, że z powodu wojny; zresztą można się było tego spodziewać. Na dodatek chorowałeś. Jednak nigdy przedtem nie interesowały cię takie sprawy. Chyba za dużo czasu spędzałeś w bibliotekach. Miałem nadzieję, że te wakacje wyjdą ci na dobre. Wypoczynek...

- Nie chcę żadnego wypoczynku - powiedziałem z wściekłością. - Półtora roku odpoczywałem na Sumatrze. Nic nie robiłem, tylko odpoczywałem w tamtej cuchnącej wiosce pośród dżungli i czekałem, wciąż czekałem.

Zobaczyłem ją teraz i poczułem jej smród. Znów czułem, że mam gorączkę szalejącą we mnie przez cały czas, kiedy leżałem w szalasi strzeżonym przez tabu.

Cofnąłem się pamięcią o osiemnaście miesięcy do ostatniej chwili, w której wszystko było jeszcze dla mnie normalne. Do końcowej fazy drugiej wojny światowej, kiedy leciałem nad dżunglą na Sumatrze. Wojna nigdy oczywiście nie jest dobra ani normalna, ale do tamtego momentu zamroczenia w powietrzu byłem zwykłym człowiekiem, pewnym siebie, pewnym swego miejsca na świecie, bez tych nieznośnych odruchów pamięci, zbyt ulotnych, by je uchwycić.

Potem nastąpiła pustka, nagła i całkowita. Nigdy się nie dowiedziałem, co to było. Przecież nic takiego się nie stało. Jedynych obrażeń doznałem wtedy, gdy runął samolot, i były one zdumiewająco lekkie. Kiedy ogarnął mnie mrok i pustka, byłem cały i zdrow.

Przyjaźni Batakowie znaleźli mnie leżącego w rozbitym samolocie. Wyleczyli z gorączki i z szalejącej choroby swoimi dziwacznymi, prymitywnymi, ale skutecznymi sposobami uzdrawiania. Czasami myślę sobie, że ratując mnie nie wyświadczyli mi przysługi. Ich lekarz-czarownik również miał w tej sprawie wątpliwości.

On wiedział. Wypowiadał swoje niezwykle, daremne zaklęcia, stosował magię ryżu i powiązanego w supły sznura. Pocił się z wysiłku, czego wtedy jeszcze nie rozumiałem. Przypomniałem sobie jego brzydką, pokrytą szramami, majaczącą w mroku maskę i gesty świadczące o niezwyklej mocy.

"Wróć, duszo, która błąkasz się po wzgórzach, nad rzeką. Słuchaj, przywołuję cię zaklęciem toemba bras. zaklinam cię na ptasie jajo radży moelija, na jedenaście ziół leczniczych..."

Tak. początkowo wszyscy się nade mną litowali. Lekarz-czarownik pierwszy wyczuł, że coś tu jest nie tak. Ta świadomość udzieliła się innym. Czuję, jak się rozprzestrzenia, a oni zmieniają swoje nastawienie. Bali się. Chyba nie mnie, więc czego?

Zanim przyleciał helikopter, żeby zabrać mnie z powrotem do cywilizacji, lekarz-czarownik powiedział mi trochę. Pewnie tyle, na ile się odważył.

“Musisz się ukrywać, synu. Przez całe życie musisz pozostać w ukryciu. Szukają cię...” - tutaj użył słowa, którego nie rozumiałem. “Przychodzą z Innego Świata, z krainy cieni, żeby cię dopaść. Pamiętaj o jednym - powinieneś strzec się przedmiotów magicznych. Jeżeli ci się to nie uda. być może magia stanie się dla ciebie bronią. My nie możemy tobie pomóc. Nasze moce nie są aż tak potężne.”

Był zadowolony, że odchodzę. Wszyscy byli zadowoleni.

Po tym, co się stało, odczuwałem niepokój. Zostałem przecież całkowicie odmieniony. Czyżby przez gorączkę? Możliwe. W każdym razie nie uważałem już siebie za tego samego człowieka. Miewałem sny, wspomnienia, prześladowające nagle niepokoje, jak gdybym gdzieś zostawił niedokończone życiowe zadanie...

Zorientowałem się, że swobodniej rozmawiam teraz z wujem.

- To było jak podniesienie kurtyny, zdjęcie zasłony dymnej. Niektóre sprawy zobaczyłem wyraźniej i okazało się, że znaczą coś innego. Ostatnio zdarza mi się to, co przedtem wydawało się nieprawdopodobne. Ale nie teraz.

Wiesz, że dużo podróżuję. Ale to nie pomaga. I tak zawsze znajdzie się coś, co mi przypomni tamto - amulet na wystawie lombardu, powiązany w supły sznur, opal - kocie oczko, jakieś dwie figurki. Wciąż widzę to w snach, bez przerwy. Kiedyś... - Przerwałem.

- Tak? - wuj zachęcał mnie łagodnie.

- To było w Nowym Orleanie. Kiedy którejś nocy obudziłem się, coś było w moim pokoju, bardzo blisko mnie. Pod poduszką miałem broń - specjalny typ rewolweru. Kiedy po niego sięgnąłem, to coś, nazwijmy je psem, wyskoczyło przez okno. Tyle tylko, że wcale nie wyglądało jak pies. - Zawahałem się. - W rewolwerze były srebrne kule - dodałem.

Wuj milczał przez dłuższą chwilę. Wiedziałem, co myśli.

- A ta druga figurka? - spytał wreszcie.

- Nie wiem. Ma na głowie kaptur i jest chyba bardzo stara. Poza tymi dwoma...

- Tak?

- Jest jeszcze głos. Bardzo słodki, natrętny głos. I ogień. A za ogniem twarz, której nigdy nie widziałem wyraźnie.

Wuj pokiwał głową. Zapadła ciemność. Ledwie go widziałem. Dym rozszedł się w mroku nocy. Za drzewami błąkała się jeszcze nikła smużka... A może to tylko moja wyobraźnia?

Nachyliłem się w stronę okna.

- Już kiedyś widziałem ten ogień - powiedziałem do wuja.

- Co w tym złego? Chłopi palą ogniska.

- Nie. To Ogień Klęski.

- Cóż to takiego, u diabła?

- Rytuał - powiedziałem. - Podobnie jak ognie świętojańskie albo ogniska, które rozpalali Szkoci podczas staroceltyckich majówek. Tyle tylko, że Ogień Klęski roznieca się wyłącznie w chwili nieszczęścia. To bardzo stary zwyczaj.

Wuj odłożył fajkę i pochylił się do przodu.

- Co to wszystko ma znaczyć, Ed? Czy ty w ogóle coś tu rozumiesz?

- Z psychologicznego punktu widzenia można by to nazwać manią prześladowczą - mówiłem powoli. - Wierzę w rzeczy, w które przedtem nigdy nie wierzyłem. Chyba ktoś próbuje mnie odszukać albo raczej już mnie znalazł. I teraz wzywa. Nie wiem, kto to jest, i nie mam pojęcia, czego chce. Do tego jeszcze przed chwilą odkryłem ten miecz.

Podniosłem broń ze stołu.

- To nie ten miecz, którego mi potrzeba - mówiłem dalej. - Czasami, kiedy myślę w sposób oderwany, coś z zewnątrz wpływa do mojego umysłu. Podobnie jest z marzeniem o mieczu. Ale nie byle jakim mieczu, tylko tamtym, jednym jedynym. Nie wiem, jak on wygląda - wiedziałbym wtedy, gdybym trzymał go w dłoni. - Uśmiechnąłem się z lekka. - Jeżeli wyciągnąłbym go z pochwy na kilka centymetrów, tamten ogień zgasłby jak płomień świecy. Gdybym wyciągnął miecz na całą długość, nastąpiłby koniec świata.

Wuj pokiwał głową. Po chwili znów się odezwał.

- A co na to mówią lekarze? - spytał.

- Wiem, co by mówili, gdybym im powiedział - odparłem ponuro. - Całkowity obłąd. Gdybym miał pewność, że tak jest, byłbym szczęśliwszy. Wiesz, że jakiś pies został zabity wczoraj w nocy.

- Oczywiście, że wiem. Stary Duke. A może jakiś inny pies z którejś farmy, co?

- Albo wilk. Ten sam, który dostał się wczoraj w nocy do mojego pokoju, stanął nade mną jak człowiek i odciął mi kosmyk włosów.

Za oknem, gdzieś daleko, buchnął płomień i zgasł w ciemności. To Ogień Klęski.

Wuj podniósł się z miejsca. Stał, przyglądając mi się w mroku. Położył mi swą dużą dłoń na ramieniu.

- Ty chyba jesteś chory, Ed.

- Myślisz, że zwariowałem. No cóż, możliwe. Ale mam pewne podejrzenia, co do których tak czy inaczej wkrótce się upewnię.

Podniosłem miecz i położyłem go sobie na kolanach. Siedzieliśmy obaj w milczeniu i trwało to chyba długo.

W lesie, w kierunku na północ, nieprzerwanie palił się Ogień Klęski. Nie widziałem go, ale wzniecał płomień w mojej krwi złowieszcze i tajemnicze.

Rozdział 2

Zew Szkarłatnej Czarodziejki

Nie mogłem spać. Zapierająca oddech spiekota późnego lata otulała mnie jak wełniany koc. Poszedłem więc do dużego pokoju i nerwowo szukałem papierosów.

- Czy wszystko w porządku, Ed? - Głos wuja dochodził przez otwarte drzwi.

- Tak. Nie mogę tylko zasnąć. Chyba poczytam.

Wybrałem jakąś książkę na chybił trafił, zatopilem się w wygodnym fotelu i zapaliłem lampę. Panowała absolutna cisza. Nie słyhać było nawet delikatnego plusku drobnych fal o brzeg jeziora.

Marzyłem o jednym...

Wytrawny strzelec w sytuacji krytycznej zapragnie dotyku gładkiego drewna i metalu. Podobnie i moja dłoń usilnie pragnęła czegoś dotknąć. Nie myślałem ani o rewolwerze ani o mieczu, lecz o broni, której kiedyś używałem. Nie mogłem sobie przypomnieć, jaka ona była. Kiedy spojrzałem na oparty o kominek pogrzebacz i już mi się wydawało, że to właśnie to, nagle wspomnienie natychmiast uleciało.

Książka okazała się znaną mi powieścią, przerzuciłem ją więc szybko. Przytłumione, niewyraźne pulsowanie krwi nie słabło. Przybrało nawet na sile, stając się wyczuwalne. Lekkie podniecenie w głębi umysłu zaczynało narastać.

Z grymasem podniosłem się z miejsca i odłożyłem książkę na półkę. Stałem tak przez chwilę, przebiegając wzrokiem tytuły. Odruchowo wyciągnąłem tomik, do którego nie zaglądałem przez wiele lat. Był to modlitewnik anglikański.

Sam otworzył mi się w dłoniach. Ze strony wybijało się jedno zdanie.

“Jam jest jakoby potwór dla wielu.”

Odłożyłem modlitewnik i wróciłem na fotel. Nie byłem w nastroju do lektury. Przeszkadzało mi światło lampy nad głową, więc nacisnąłem wyłącznik. Pokój natychmiast zatonął w poświacie księżyca. Gwałtownie wzmógł się osobliwy nastrój oczekiwania, tak jak gdyby opadła jakaś zapora.

Schowany w pochwie miecz wciąż leżał na parapecie okna. Spojrzałem ponad nim na pochmurne niebo, na którym świecił złocisty księżyc. Gdzieś w oddali, w bagnistej głuszy Limberlost nikłym światłem błyskał Ogień Klęski.

Płonął i wzywał.

Złoty kwadrat okna działał hipnotycznie. Zagłębiłem się w fotelu, na wpół przymykając oczy. W poczuciu zagrożenia zimny dreszcz wstrząsnął moim mózgiem. Już wcześniej odczuwałem czasami to wezwanie. Jednak przedtem zawsze potrafiłem mu się oprzeć.

Tym razem uległem.

Czyżby tamten odcięty kosmyk włosów dał wrogowi moc? Przesady. Logika nakazywała określać to w ten sposób, chociaż nieprzeparte wewnętrzne przeświadczenie mówiło mi, że pradawna magiczna moc włosów to wcale nie kpina. Od tamtego zdarzenia na Sumatrze stałem się o wiele mniej sceptyczny. I również od tamtego czasu zacząłem dociekać.

Studia były dosyć osobliwe, od zasad magii hipnotycznej do fantastycznych opowieści o wilkołactwie i demonach. Wykazywałem nawet zadziwiająco szybkie postępy.

Było tak, jakbym robił powtórkę, aby przypomnieć sobie to, co znałem kiedyś na pamięć. Tylko jeden problem sprawiał mi prawdziwe kłopoty. Wciąż się nań natykałem w postaci okrężnych wzmianek.

Chodziło o pojęcie Mocy jako bytu, występujące wśród ludu pod tak znanymi imionami, jak Czarny, Szatan, Lucyfer, i nieznanymi, jak Kutchie u australijskiego plemienia Dieri, Tuña u Eskimosów, afrykański Abonsam czy Stratteli u Szwajcarów.

Nie prowadziłem badań na temat Czarnego, ponieważ nie było mi to potrzebne. Powracał do mnie sen, którego nie mogłem nie utożsamiać z ciemną siłą uosabiającą zło. Stałem wtedy jakby przed złościście lśniącym kwadratem, okropnie wystraszony, dążąc jednak nieodparcie do upragnionego spełnienia. Przeniknąć do wnętrza tego rozświetlonego kwadratu, gdzie byłoby źródło ruchu. Wiedziałem o pewnych rytualnych gestach, jakie należałoby wykonać przed rozpoczęciem całej ceremonii, lecz trudno mi było przelamać ogarniający mnie bezwład.

Tamten kwadrat przypominał nasycone światłem księżycy okno, które miałem przed sobą, a jednak był inny.

Tym razem nie przeszył mnie nawet dreszcz strachu. Słyszalny cichy pomruk działał raczej kojąco, brzmiąc łagodnie jak nucenie kobiecego głosu.

Złoty kwadrat zadrżał i zamigotał. Smużki mrocznego światła wysuwały się w moim kierunku jak macki. Zewsząd dobiegał cichy pomruk, nęcący i zniewalający.

Złote macki wdzierały się wszędzie, jak gdyby zgadywały. Dotknęły lampy, stołu, dywanu i cofnęły się. Wreszcie trafiły na mnie.

Teraz szybko i chciwie skoczyły naprzód. Zdażyłem tylko zadrzeć przez chwilę z przerażenia, zanim omotały mnie uściskiem, jakby chciały uśpić mnie w złocistym pyle. Pomruk stawał się głośniejszy. Poddąłem się jego działaniu.

Zareagowałem takim samym dreszczem jak odarty ze skóry satyr Marsjasz, który drżał na dźwięk rodzimych melodii frygijskich. Rozpoznałem tę muzykę. Przecież znałem ten śpiew.

Ze złocistej jasności skradała się skulona zjawa. Widmo o bursztynowych oczach, ze zjeżoną grzywą, postać nie ludzka, lecz wilcza.

Zjawa zawahała się i spojrzała badawczo przez ramię. W polu widzenia ukazała się teraz jeszcze jedna postać w długiej szacie i kapturze, spod których nie wystawał najmniejszy fragment twarzy ani ciała. Była nieduża, wzrostu dziecka.

Wilk i postać w kapturze, zawieszeni w złocistym pyłe, obserwowali i czekali. Pomruk podobny do westchnień stał się teraz inny, przybierając dźwięki sylab i wyrazów. Słowa nie były wypowiedzane w żadnym ludzkim języku, ale znalazłem je.

- Ganelonie! Wzywani cię, Ganelonie! Na piętno twojej krwi... wysłuchaj mnie.

Ganelon! To przecież moje imię. Znałem je tak dobrze.

Tylko kto mnie tak nazywał?

- Wołałam do ciebie już wcześniej, ale droga była zamknięta. Teraz przerzucony został pomost. Przybądź do mnie, Ganelonie!

Dało się słyszeć westchnienie.

Wilk, warcząc, popatrzył przez włochaty, zjeżony bark. Za-kapturzona postać nachyliła się w moją stronę. Poczulem na sobie spojrzenie przenikliwych oczu, śledzących mnie spod ciemnego kaptura, i powiew lodowatego oddechu.

- On zapomniał, Medeo - odezwał się słodki, cienki, jakby dziecienny głosik.

Znów słyszeć było westchnienie.

- Nie pamięta mnie? Ganelonie, Ganelonie! Czyżbyś zapomniał ramion Medei, ust Medei?

Rozbujany w złocistym pyłe, kołysałem się na wpół śpiący.

- On zapomniał - powtórzyła postać w kapturze.

- Pomimo wszystko niech do mnie przybędzie. Ganelonie, pali się Ogień Klęski. Brama do Krainy Mroku stoi otworem. Na ogień, ziemię i ciemności, wzywam cię, Ganelonie!

- On zapomniał.

- Przyrowadź mi go. Przecież to my mamy teraz moc.

Złocisty pył zgęstniał. Wilk o płonących oczach i zjawa odziana w długą szatę zawirowały, zbliżając się w moim kierunku. Poczulem, jak bezwolnie unoszę się i posuwam naprzód.

Okno otworzyło się szeroko. Spojrzałem na osłonięty pochwą miecz, gotowy do użycia. Chwyciłem broń, nie mogąc jednak przeciwstawić się tej nieublaganej fali, która pchała mnie naprzód. Wilk i pomrukująca zjawa płynęły wraz ze mną.

- Do Ognia. Doprowadź go do Ognia.

- Medeo, on zapomniał.

- Do Ognia, Edeyrn. Do Ognia.

Obok mnie przepływały pokręcone konary drzew. Daleko w przedzie zobaczyłem migotanie, które wzmagalo się i przybliżało. Był to Ogień Klęski.

Teraz fala unosiła mnie jeszcze szybciej, wprost do Ognia.

Tylko nie do Caer Llyr!

Gdzieś z głębi świadomości wyrwały się te tajemne słowa. Wilk o bursztynowych oczach zawirował i wlepił we mnie wzrok. Zakapturzona zjawa przypłynęła bliżej na fali złocistego strumienia. Poczulem, jak przez skłębiony pył przenika lodowaty, śmiertelny chłód.

- Caer Llyr - słodkim, dziecinnym głosem wyszeptała zakapturzona Edeyrn. - On pamięta Caer Llyr, ale czy pamięta Llyra?

- Musi pamiętać. Został przecież naznaczony przez Llyra. W Caer Llyr, w Siedzibie Llyra na pewno sobie przypomni.

W odległości kilku metrów palił się wysokim słupem Ogień Klęski. Walczyłem z wciągającą mnie falą.

Uniosłem w górę miecz, a pochwę wyrzuciłem. Ciałem złocisty pył, w który mnie spętano.

Świejące, mgliste widma zadrżały pod ciosami starodawnej klingi. Rozdarte, cofnęły się. W melodyjnym pomruku nastąpiła przerwa. Na chwilę zapanowała kompletna cisza.

A potem...

- Matholchu! - dał się słyszeć krzyk niewidzialnej, pomrukującej zjawy. - Lordzie Matholchu!

Wilk, gotowy do skoku, wystawił kły. Mierzyłem w warczący pysk. Zwierzę z łatwością uniknęło ciosu i ruszyło naprzód.

Chwyciło ostrze pomiędzy kły, wytrącając mi z dłoni rękojeść.

Złocisty pył, napływający kolejną falą, zamknął mnie w gorącym uścisku.

- Caer Llyr - mruczały zjawy.

Ogień Klęski strzelał purpurową fontanną.

- Caer Llyr! - wykrzykiwały płomienie.

Nagle wynurzyła się spośród nich... postać kobiety!

Czarne jak noc włosy splywały jej miękko do kolan. Spod rosnących poziomo brwi rzuciła w moją stronę spojrzenie, które wyrażało wątpliwość i dziką determinację zarazem. Była uosobieniem urody, czarnowłosą pięknnością.

Lilith. Medea, czarodziejka z Kolchidy.

A potem...

- Brama się zamyka - oznajmiła Edeyrn dziecinnym głosem.

Wilk, z moim mieczem wciąż w pysku, niespokojnie szykował się do skoku. Kobieta, która wynurzyła się z płomieni, milczała.

Wyciągnęła tylko do mnie ręce.

Złocisty pył pchał mnie gwałtownie do przodu, wprost w śnieżnobiałe ramiona.

Wilk i zakapturzona zjawa doskoczyli do nas z obu stron. Pomruk przeszedł w tubalny ryk - huk jakby walących się światów.

- To trudne, bardzo trudne - powiedziała Medea. - Pomóż mi, Edeyrn. Lordzie Matholchu.

Płomienie zgasły. Już nie otaczała nas oświetlona księżycem głusza wokół Limberlost, lecz szara pustka, bezkształtna szarość, ciągnąca się w nieskończoność. Na tle tej pustki nie było widać nawet gwiazd.

- Medeo, nie ma we mnie mocy. Za długo przebywałam na Ziemi. - Z głosu Edeyrn przebijał strach.

- Otwieraj bramę! - krzyknęła Medea. - Uchyl ją tylko trochę, bo w przeciwnym razie pozostaniemy tutaj na zawsze, między światami.

Wilk, warcząc, gotował się do skoku. Poczulem, jak z jego zwierzęcego ciała płynie energia. Jego mózg nie był jednak mózgiem zwierzęcia.

Otoczający nas pył rozproszył się.

Wkradła się szarość.

- Ganelonie - powiedziała Medea. - Pomóż mi, Ganelo-nie!

Otworzyła się jakaś furtka w mojej świadomości. Do wnętrza wtargnęła bezkształtna ciemność.

Czulem, jak pełza we mnie to zabójcze, szatańskie widmo i pogrąża umysł w czarnych jak heban falach.

- W nim jest moc - wyszeptała Edeyrn. - Został przecież naznaczony przez Llyra. Niech go przywoła.

- Nie, nie. Nie odważę się. Llyra? - Medea przyglądała mi się badawczo.

Wilk warczał i prężył się u mych stóp, jak gdyby jego zwykła zwierzęca siła wystarczała, by jednym szarpnięciem otworzyć bramę między zamkniętymi światami.

Teraz czarne fale zalały mnie zupełnie. Myśli wybiegły wprawdzie ponad nie, lecz zostały stłamszone przez mroczną, napawającą grozą, absolutną nieskończoność, która sięgała coraz dalej i dalej, aż...

Dosięgnęła...

Dosięgnęła Llyra... Llyra!

- Brama się otwiera - oznajmiła Edeyrn.

Mroczna pustka przeminęła. Złocisty pył rozrzedził się i zniknął. Otaczały mnie teraz białe kolumny, które pnąc się wysoko, wysoko w górę tworzyły sklepienie. Staliśmy na ozdobionym osobliwymi rysunkami podium.

Szatańska fala, która przepływała przeze mnie, znikła.

Zdjęty przerażeniem i dręczony odrazą do samego siebie, padłem na kolana, jedną ręką zasłaniając oczy.

Przywołałem... Llyra!

Rozdział 3

Zamknięte światy

Obudziłem się z uczuciem bólu w każdym mięśniu. Leżałem bez ruchu, wpatrzony w niski sufit. Pamięć odpłynęła. Odwróciłem głowę i uprzytomniłem sobie, że leżę na miękkiej kanapie wyściełanej jedwabiem i obłożonej poduszkami. Naprzeciw niemal pustego, skromnie umeblowanego pomieszczenia znajdowało się we wnęcie półprzeźroczyste okno. Chociaż przepuszczało światło, widziałem przez nie tylko zamazane plamy.

Obok mnie, na stolku o trzech nogach, siedziała ubrana w długą szatę karlica, w której rozpoznałem Edeyrn.

Również i teraz nie widziałem jej twarzy. Cień rzucany przez kaptur padał bardzo głęboko. Czulem jednak błysk przenikliwych, czujnych oczu i jakiś dziwnie obcy, lodowaty, jakby grobowy oddech. Szata Edeyrn miała brzydki odcień szafranu, a w ostrych faldach nie było odrobiny życia. Przyglądając się temu stworzeniu zauważyłem, że ma ledwie ponad metr wzrostu. Może miałyby metr dwadzieścia, gdyby stała prosto.

- Napijesz się czegoś, zjesz coś, Lordzie Ganelonie? - znów usłyszałem słodki, dziecinny, bezpłciowy głosik.

Zrzuciłem z siebie zwiewną szatę i usiadłem. Ubrany byłem w wiotką, delikatną, srebrzystą tunikę i krótkie spodnie z identycznej tkaniny. Chociaż Edeyrn nie zrobiła na pozór żadnego ruchu, draperia na ścianie rozsunała się i wszedł w milczeniu mężczyzna, wnosząc zastawioną tacę.

Jego wygląd uspokajał. Był to postawny, dobrze zbudowany mężczyzna. Spod ozdobionego pióropuszem hełmu w stylu etruskim wyglądała smągła, masywna twarz. Tak myślałem, dopóki nie zobaczyłem jego oczu. Były jak niebieskie stawy, w których zatopione zostało przerażenie. Ten odwieczny strach zapadł do samej głębi spojrzenia, jakby zadowolony na dnie oczu.

Mężczyzna obsłużył mnie w milczeniu i odszedł bez słowa.

- Jedz i pij. Nabierzesz sił, Lordzie Ganelonie. - Edeyrn skinęła głową, wskazując na tacę.

Leżały na niej rozmaite mięsa, chleb i kielich jakiegoś bezbarwnego napoju. Kiedy go spróbowałem, okazało się, że to nie woda. Przełknąłem nieduży haust, odstawilem kielich i popatrzyłem gniewnie na Edeyrn.

- Chyba nie postradałem zmysłów - odezwałem się.

- Nie. Twoja dusza przebywała gdzie indziej, a ty byłeś na wygnaniu. Teraz znów jesteś w domu.

- W Caer Llyr? - spytałem, nie bardzo wiedząc dlaczego.

- Nie, ale musisz chyba pamiętać. - Edeyrn zaszeleściła szafranową szatą.

- Nic nie pamiętam. A kim ty jesteś? Co się ze mną działo?

- Wiesz, że jesteś Ganelonem?

- Nazywam się Edward Bond.

- Przecież prawie już sobie przypomniałeś, tam, przy Ogniu Klęski - powiedziała Edeyrn.

- Na to potrzeba trochę czasu. No i zawsze istnieje pewne ryzyko. Pytałeś, kim jestem. Mam na imię Edeyrn i zasiadam w Zgromadzeniu.

- Jesteś...

- Jestem kobietą - powiedziała tym swoim dziecięcym, słodkim głosikiem, uśmiechając się delikatnie. - Bardzo starą kobietą, najstarszą ze Zgromadzenia, które nie składa się już z dawnej trzynastki. Jest tam oczywiście Medea, Lord Matholch (przypomniałem sobie wilka), Ghast Rhymi, który ma największą moc z nas wszystkich, ale jest zbyt stary, by ją wykorzystywać. No i ty, Ganelon czy Edward Bond, skoro tak siebie nazywasz. Jest nas pięcioro. Kiedyś były setki, chociaż nawet ja nie mogę pamiętać tamtych czasów. Ghast Rhymi pamiętałby, gdyby chciał.

- O Boże, nic z tego nie wiem. - Ukryłem twarz w dłoniach. - Twoje słowa nic dla mnie nie znaczą. Nawet nie mam pojęcia, gdzie jestem!

- Posłuchaj - powiedziała Edeyrn i w tej samej chwili poczułem na ramieniu delikatne dotknięcie. - Musisz zrozumieć jedno. Straciłeś pamięć.

- To nieprawda.

- Ależ tak, to prawda, Lordzie Ganelonie. Twoja prawdziwa pamięć została zatarta, a w jej miejsce dano ci sztuczną. Wszystko, co według ciebie jest przypomnieniem twego życia na Ziemi - to fałsz. To się w ogóle nie wydarzyło. W każdym razie nie przytrafiło się tobie.

- Ziemia? To ja nie jestem na Ziemi?

- Tutaj jest inny świat - padła odpowiedź. - Ale to twój świat. Z niego właśnie się wywodzisz. Nasi wrogowie, Buntownicy, skazali cię na wygnanie i zmienili ci pamięć.

- To niemożliwe.

- Podejź tutaj - powiedziała Edeyrn i zbliżyła się do okna. Dotknęła czegoś i szyba stała się przezroczysta. Spojrzałem ponad zakapturzoną głowę karlicy na krajobraz, którego nigdy przedtem nie widziałem.

A może widziałem?

W dole rozciągał się las, skąpany w posępnym, krwistym świetle purpurowego słońca.

Patrzyłem ze znacznej wysokości, nie mogłem więc dostrzec szczegółów, chociaż wydawało mi się, że drzewa mają jakieś dziwne kształty i że się poruszają. W kierunku odległych wzgórz płynęła rzeka. Ponad lasem górowało kilka białych wież. To wszystko. Jednakże ogromne szkarłatne słońce wiele tłumaczyło. To nie była ta Ziemia, którą znałem.

- Czyżby jakaś inna planeta?

- Nie tylko - odpowiedziała Edeyrn. - Niewielu jest takich w Krainie Mroku, którzy o tym wiedzą. Na twoje nieszczęście wiem ja i jeszcze kilku. Istnieją światy prawdopodobne, rozbieżne w strumieniu czasu, chociaż prawie identyczne, dopóki ich odgałęzienia nie rozejdą się na zbyt dużą odległość.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Światy współistnieją w czasie i przestrzeni, lecz oddzielone są za pomocą innego wymiaru, wyznaczonego przez prawdopodobieństwo. Znajdujesz się w świecie, który mógł być twoim światem, gdyby wydarzyło się dawno temu coś, co w istocie nie miało miejsca. Ziemia i Kraina Mroku pierwotnie stanowiły jedność w czasie i przestrzeni. Dopiero później podjęto pewną decyzję, decyzję najwyższej wagi, chociaż nie wiem dokładnie jaką. Od tamtego momentu strumień czasu rozgałęził się i w miejsce istniejącego poprzednio jednego świata powstały dwa różne.

Początkowo były identyczne, z tym, że w jednym z nich nie podjęto tamtej najważniejszej decyzji. Skutki okazały się krańcowo różne. Chociaż wydarzyło się to wszystko setki lat temu, obydwie możliwe światy nadal istnieją blisko siebie w strumieniu czasu. Kiedyś w końcu odpiąną na jeszcze większą odległość i staną się jeszcze mniej do siebie podobne. Na razie są zbieżne do tego stopnia, że człowiek ze świata ziemskiego może mieć swój odpowiednik w Krainie Mroku.

- Odpowiednik?

- Tak, człowieka, którym byłby, gdyby setki lat temu w jego świecie nie została podjęta najważniejsza decyzja. Ganelon - Edward Bond to para bliźniacza. Teraz rozumiesz?

Wróciłem na kanapę i usiadłem zasępiony.

- Dwa światy, które ze sobą współistnieją. Tak, to mogę zrozumieć. Ale chyba masz na myśli coś więcej, chyba to, że gdzieś istnieje mój odpowiednik.

- Urodziłeś się w Krainie Mroku. Twój sobowtór, prawdziwy Edward Bond, urodził się na Ziemi. Tutaj są nasi wrogowie - zbuntowani leśni zwiadowcy, którzy przywłaszczyli sobie dość wiedzy, aby przerzucić most nad przepaścią dzielącą oba warianty czasowe. Sami również dowiedzieliśmy się dopiero niedawno o tej metodzie, chociaż kiedyś była ona tutaj dobrze znana wśród członków Zgromadzenia.

Buntownicy pokonali przepaść wysyłając ciebie, to znaczy Ganelona, do świata ziemskiego po to, by Edward Bond mógł przybyć tutaj do nich. Następnie...

- Ale dlaczego? - przerwałem. - Jaki mieli ku temu powód?

Edeyrn zwróciła w moją stronę zakapturzoną głowę. Kiedy utkwiała we mnie wzrok, poczułem, zresztą nie po raz pierwszy, ten znany chłód.

- Powód? - powtórzyła jak echo słodkim, chłodnym głosem. - Pomyśl sam, Ganelonie. Spróbuj sobie przypomnieć.

Zastanawiałem się z zamkniętymi oczami, usiłując stłumić świadomą pamięć, a wydobyć z głębi na powierzchnię pamięć Ganelona, jeżeli w ogóle tam była. Nie mogłem jeszcze do końca się pogodzić z tymi wszystkimi absurdalnymi myślami, chociaż z pewnością wiele by one wyjaśniły, gdyby były prawdziwe. Zdałem sobie nagle sprawę, że tłumaczyłyby nawet tamtą przedziwną pustkę wtedy w samolocie nad dżunglą Sumatry, tamtą chwilę, od której wszystko zaczęło wyglądać inaczej.

A może to właśnie w tamtym momencie Edward Bond opuścił Ziemię, a jego miejsce zajął Ganelon. Obaj byli zbyt oszołomieni i bezradni podczas tej zamiany, aby zorientować się i zrozumieć, co się stało.

Przecież to niemożliwe!

- Nie pamiętam -- stwierdziłem szorstko. - To nie mogło mieć miejsca. Doprawdy wiem, kim jestem! Wiem wszystko, co kiedykolwiek przydarzyło się Edwardowi Bondowi. Nie w mówisz mi chyba, że to, co się dzieje, stanowi tylko złudzenie. Przecież to zbyt wyraziste, zbyt realne!

- Ganelonie, Ganelonie - mruknęła Edeyrn ze śmiechem w głosie. - Pomyśl o tych buntownikach. Spróbuj, Ganelonie. Postaraj się sobie przypomnieć, dlaczego postąpili z tobą w taki właśnie sposób. Leśni zwiadowcy, Ganelonie, ci krnąbrni mali ludzie w zieleni. Znienawidzeni przez nas, zagrażający nam. Ganelonie, na pewno pamiętasz!

Może była to swego rodzaju hipnoza. Później tak myślałem. Jednak w tym momencie jakiś obraz rzeczywiście napłynął do mojej świadomości. Zobaczyłem mrowiący się pośród drzew zielony rój. Na jego widok zapalałem nagłym gniewem. W tym momencie byłem Ganelonem, wielkim, potężnym władcą zdradzonym przez swych poddanych, niegodnych nawet tego, by wiązać mi buty.

- Oczywiście, że ich nienawidziłeś - wyszeptała Edeyrn. - Być może dostrzegła mój wyraz twarzy. Kiedy mówiła, poczułem, jak w jakiś dziwny sposób sztywnieje mi wykrzywiona twarz. Nadal siedząc, rozprostowałem się i arogancko odchyliłem do tyłu. Usta wykrzywił mi szydery uśmiech. Może dzięki temu Edeyrn nie mogła czytać wszystkich moich myśli. To co sądziłem, widniało jednak jasno na mojej twarzy i znajdowało odbicie w zachowaniu.

- Oczywiście ukarałeś ich, kiedy nadarzyła się sposobność. - mówiła dalej Edeyrn. - Takie było twoje prawo i obowiązek. Jednak oni cię oszukali, Ganelonie. Okazali się sprytniejsi niż ty. Znaleźli bramę, przez którą wepchnęli cię do innego świata, odwracając bieg czasu. Daleko po drugiej stronie tej bramy stał Edward Bond, który nie czuł do buntowników nienawiści. Dlatego otworzyli ją.

Głos Edeyrn przybrał nieznacznie na sile. Odkryłem brzmiającą w nim nutę drwiny.

- Kłamiwa pamięć, fałszywe wspomnienia, Ganelonie. Przyjmujesz przeszłość Edwarda Bonda za swoją własną wtedy, kiedy utożsamiasz się z nim. On dostał się do naszego świata takim, jakim był, nic nie wiedząc o Ganelonie. Sprawił nam wiele kłopotów, przyjacielu, wprowadził wielki zamęt. Początkowo nie domyślaliśmy się, że coś jest nie w porządku. Sądziliśmy, że z chwilą kiedy Ganelon zniknął ze Zgromadzenia, wśród buntowników pojawił się jakiś nieznany nowy Ganelon, organizując ich do walki przeciwko własnym ludziom. - Edeyrn uśmiechnęła się delikatnie. - Musieliśmy zbudzić ze snu Ghasta Rhymiego, żeby przyszedł nam z pomocą. Kiedy dowiedzieliśmy się wreszcie, jak otworzyć bramę, przybyliśmy na Ziemię, by ciebie poszukiwać. Znaleźliśmy cię i zabraliśmy ze sobą z powrotem. Tutaj jest twój świat, Lordzie Ganelonie! Uznajesz go?

- Ten świat nie jest prawdziwy. Jestem przecież Edwardem Bondem. - Potrząsnąłem głową oszołomiony.

- Możemy przywrócić ci prawdziwą pamięć. I tak zrobimy. Sądzę zresztą, że ona już się na chwilę ujawniła, właśnie teraz. Ale to wszystko wymaga czasu. Na razie jesteś jednym ze Zgromadzenia, a Edward Bond powrócił na Ziemię na swe dawne miejsce. Pamiętając... - Edeyrn znów uśmiechnęła się delikatnie - pamiętając na pewno o wszystkim, co tu zostawił. Nie ma jednak szans powrotu ani możliwości ponownego zaangażowania się w sprawy, które go już nie dotyczą. My potrzebowaliśmy ciebie, Ganelonie. Jakże bardzo byłeś nam potrzebny.

- Cóż ja takiego mogę zrobić? Jestem przecież Edwardem Bondem.

- Ganelon mógłby wiele dokonać, gdyby odzyskał pamięć. Na Zgromadzenie przyszły złe czasy. Kiedyś było nas trzynaścioro. Dawniej inne Zgromadzenia przyłączały się do naszych Sabatów. Kiedyś, pod wodzą Wielkiego Llyra, rządziliśmy całym światem. Teraz Llyr zapada w sen i coraz bardziej oddala się od swych wyznawców. Kraina Mroku popada stopniowo w stan barbarzyństwa. Ze wszystkich Zgromadzeń ostało się tylko nasze - przerwany krąg tuż obok Caer Llyr. gdzie za Złotym Oknem śpi Wielki.

Edeyrn zamilkła.

- Czasami wydaje mi się, że Llyr wcale nie jest pogrążony we śnie - powiedziała po chwili. - Myślę, że powoli usuwa się do jakiegoś dalekiego świata, przestając interesować się tymi, których stworzył. Ale powraca - dodała, śmiejąc się. - Tak, wraca wtedy, kiedy przed jego Oknem ustawiają się przeznaczeni mu na ofiarę. Dopóki będzie powracał, dopóty Zgromadzenie będzie miało moc pozwalającą narzucać swoją wolę Krainie Mroku.

Jednak leśni buntownicy z każdym dniem rosną w siłę, Ganelonie. Z naszą pomocą zbierałeś w sobie moc, aby im się przeciwstawić, i właśnie wtedy zniknąłeś. Potrzebowaliśmy ciebie i nuda! potrzebujemy bardziej niż kiedykolwiek. Jesteś jednym ze Zgromadzenia, być może najpotężniejszym z nas wszystkich. Razem z Matholchem byłeś...

- Chwileczkę - przerwałem jej. - Wciąż mam zamęt w głowie. Matholch? Czyżby to tamten wilk?

- Tak, to on.

- Mówiłaś o nim tak, jakby był człowiekiem.

- On jest człowiekiem... bywa nim czasami. To przypadek wilkołactwa, istoty, która zmienia swe kształty.

- Wilkołak? Niemożliwe. To mity, zwariowane ludowe przesady.

- Oto, skąd się wzięły te mity: Dawno temu wiele bram między Krainą Mroku i Ziemią pozostawiono otworem. Na Ziemi pamięć o tamtych czasach przetrwała w formie zabobonnych ludowych opowieści, korzeniami sięgających jednak rzeczywistości.

- Przesady i nic poza tym - powiedziałem kategorycznie. - Czyżbyś uważała, że te wszystkie wilkołaki i wampiry istnieją naprawdę?

- Ghast Rhymi mógłby opowiedzieć ci o nich więcej, ale nie możemy go budzić w tak błahej sprawie. Wobec tego spróbuję sama, posłuchaj. Ciało składa się z komórek, które do pewnego stopnia wykazują zdolności przystosowawcze. W sporadycznych przypadkach, kiedy przyspieszony zostaje metabolizm, adaptują się jeszcze lepiej i wtedy powstają wilkołaki.

Spod rzucającego cień kaptura brzmiał dalej słodki, bezpłciowy, dziecinny głosik. Zaczynałem trochę rozumieć. Na Ziemi, na lekcjach biologii pokazywano przypadki zwyrodniałych komórek, na przykład nowotworów złośliwych i tym podobnych. Było wśród nich wiele "ludzi-wilków", obrośniętych włosami gęstymi jak futro. Gdyby komórki mogły szybko się przystosowywać, zdarzałyby się pewnie różne dziwne rzeczy.

Co działałoby się z kośćmi? Mam na myśli specyficzną tkankę kostną, a nie sztywne, łamliwe kości normalnego człowieka. Zatrważająca byłaby teoria, iż struktura fizjologiczna uległaby tak dużym zmianom, że zamiast człowieka powstałby wilk.

- Częściowo to oczywiście złudzenie - powiedziała Edeyrn. - Matholch nie jest aż tak zezwierzęcony, jakim się wydaje. Jednak przekształca się, naprawdę zmienia swoją postać.

- Ale w jaki sposób? - spytałem. - Jak on to robi?

Edeyrn po raz pierwszy chyba się zawahała.

- Jest... mutantem - odpowiedziała po chwili. - Tutaj, w Krainie Mroku, żyje wśród nas wiele mutantów. Jest ich trochę w Zgromadzeniu, inni są gdzie indziej.

- A ty jesteś mutantką? - spytałem.

- Tak.

- I... przekształcasz się?

- Nie - zaprzeczyła Edeyrn. Przez jej szczuple ciało przeszedł jakby lekki dreszcz. - Nie, nie zmieniam postaci, Lordzie Ganelonie. Czyżbyś nie pamiętał natury moich... moich mocy?

- Nie, nie pamiętam.

- Mogą ci się przydać, kiedy Buntownicy znów zaatakują - rzekła powoli. - Tak, są wśród nas przypadki mutacji i być może stanowią główną przyczynę, dla której przed wiekami

nastąpiło rozszczepienie wyznaczone przez prawdopodobieństwo. Na Ziemi nie żyją mutanci, w każdym razie nie ma tam takich jak u nas. Zresztą Matholch nie jest jedyny.

- A ja jestem mutantem? - spytałem cicho.

- Nie, ponieważ żaden mutant nie może być przeznaczony dla Llyra. - Potrząsnęła przecząco zakapturzoną głową. - A ty zostałeś naznaczony. Ktoś ze Zgromadzenia musi znać klucz do Caer Llyr.

Znów poczułem lodowaty powiew strachu. Nie, to nie był strach, to przerażenie, potworny, śmiertelny bezdech, który ogarniał mnie zawsze, ilekroć padało imię Llyra.

- Kim jest Llyr? - wydusiłem z siebie pytanie.

Zapadło długie milczenie.

- Któż to pyta o Llyra? - odezwał się zza mnie jakiś niski głos. - Edeyrn, tej tajemnicy lepiej nie odsłaniać.

- Jednak może zajść taka konieczność - powiedziała mutantką.

Odwróciłem się i na tle ciemnej portiery wokół drzwi zobaczyłem smukłą, sprężystą postać mężczyzny ubranego tak jak ja w tunikę i w krótkie spodnie. Miał szpiczastą rudą brodę. Jego pełne usta, na wpół wykrzywione, coś mi przypominały. Był zręczny i zwinny w każdym ruchu swego giętkiego ciała. Żółte oczy przyglądały mi się ironicznie.

- Oby to nie było konieczne - powiedział mężczyzna. - No jak tam, Lordzie Ganelonie - zwrócił się teraz do mnie - mnie także sobie nie przypominasz?

- On ciebie nie pamięta, Matholchu - stwierdziła Edeyrn. - A przynajmniej nie w tym wcieleniu.

Matholch - wilk! Istota o zmiennych kształtach!

- Dzisiaj w nocy odbędzie się Sabat. - Mężczyzna wyszczerzył zęby. - Wielki Ganelon musi być przygotowany. Chyba nie obejdzie się bez kłopotów. Zresztą, to sprawa Medei. To ona pyta, czy Ganelon wrócił już do świadomości. Skoro tak, to chodźmy do niej zaraz.

- Pójdiesz z Matholchem? - zapytała mnie Edeyrn.

- Sądzę, że tak - odparłem.

- Ach, prawda, przecież ty nic nie pamiętasz, Ganelonie. - Rudobrody znów wyszczerzył zęby. - Za dawnych czasów nie miałbyś do mnie ani odrobiny zaufania, gdybym stanął za twoimi plecami ze sztyletem.

- Nigdy nie musiałeś uciekać się do takich metod - powiedziała Edeyrn. - Gdyby Ganelon kiedykolwiek przywołał Llyra, okazałoby się to nieszczęściem dla ciebie.

- Przecież żartowałem - powiedział Matholch lekko. - Moi wrogowie muszą być naprawdę silni, żeby wydać mi walkę; dlatego poczekam, aż odzyskasz pamięć, Wielki Ganelonie. Tymczasem Zgromadzenie zostało przyparte do muru i dlatego jesteśmy sobie nawzajem tak

bardzo potrzebni. No to jak, idziesz?

- Pójdź z nim - wtrąciła Edeyrn. - Nic ci nie grozi, pomimo że nie jest to Caer Llyr. Wilk częściej warczy niż gryzie.

Wydawało mi się, że wyczuwam w jej słowach ukrytą groźbę. Matholch wzruszył ramionami i odsunął na bok zasłonę, by zrobić mi przejście.

- Niewielu ośmiela się grozić wilkołakowi - powiedział przez TMm.^n.e boję _ odparła Edeyrn spod szafranowego kaptura pełnego tajemniczych cieni. ,

Pamiętałem, że ona również jest mutantką, chociaż nie opętana wilkołactwem jak ten rudobrody, kroczący teraz obok mnie sklepionym korytarzem.

Kim była Edeyrn?

Rozdział 4

Matholch... i Medea

Jak dotąd nie odczuwałem jeszcze tak naprawdę całej niezwykłości tej sytuacji. Byłem w szoku znieczulającym mnie jak narkoza. Mój umysł wciąż pozostawał bierny - jak u żołnierza, który zamiera w bezruchu, pochwycony w snop oślepiającego światła spadającego z samolotu znad głowy. W moim umyśle krążyły tylko płytkie myśli, skupione wyłącznie na bezpośrednich potrzebach, jak gdybym mógł przez to odrzucić ów nieprawdopodobny fakt, że wcale nie jestem na przyjaznym, pewnym gruncie ziemskim.

Do tego wszystkiego czułem jakąś przedziwną, niewytłumaczalną bliskość zebrowanych korytarzy ze ścianami z pali, które przemierzałem teraz razem z Matholchem. Podobnie dziwna bliskość dotyczyła oblanego mrocznym światłem krajobrazu, który rozciągał się aż po zalesioną przestrzeń widoczną z mojego okna.

Edeyrn - Medea - Zgromadzenie.

Te słowa coś oznaczały, jak gdyby należały do języka, który kiedyś dobrze znałem, dziś zapomnianego.

Szybki krok Matholcha, prawie biegnącego susami, lekkie kołysanie jego muskularnych ramion, warkliwy śmiech na okolonych rudą brodą ustach - to wszystko nie było mi obce.

Żółte oczy wilkołaka obserwowały mnie ukradkiem. Nagle zatrzymaliśmy się przed wzorzystą czerwoną zasłoną, którą Mat-holch niepewnie odsunął na bok i ruchem ręki wskazał mi dalszą drogę.

Zrobiłem krok i... przystanąłem. Popatrzyłem na niego.

Pokiwał głową na znak zadowolenia, chociaż jego twarz wciąż jeszcze wyrażała wątpliwość.

- Więc jednak trochę pamiętasz, co? Tyle, żeby wiedzieć, że ta droga nie prowadzi do Medei. Pomimo to chodźmy jeszcze przez chwilę. Chcę z tobą pomówić.

Idąc za nim krętymi schodami w górę zdałem sobie nagłe sprawę, że on wcale nie mówi po angielsku. Rozumiałem go jednak, tak samo jak rozumiałem Edeyrn i Medeę.

Ganelon?

Doszliśmy na wieżę do pomieszczenia, którego ściany stanowiły przezroczyste szyby. W powietrzu czuć było gorzki swąd spalenizny. Z ustawionego pośrodku miedzianego kotła na trzech nogach wydobywały się kłęby szarego dymu. Matholch wskazał mi miejsce na kanapie pod oknem. Sam niedbale usiadł obok mnie.

- Zastanawiam się, jak dużo pamiętasz - powiedział.

- Niewiele - potrząsnąłem przecząco głową. - Tyle jednak, żeby zbytnio nie ufać.

- Wobec tego sztuczna pamięć ziemską wciąż jest dominująca. Ghast Rhymi powiedział, że w końcu sobie przypominasz, tyle tylko, że to musi potrwać. Falszywy zapis na tabliczce twego mózgu ulegnie zatarciu i powróci dawna, prawdziwa pamięć. Za jakiś czas - dodał.

Jak palimpsest, pomyślałem, rękopis z podwójnym zapisem na tym samym pergaminie. Jednak Ganelon wciąż był dla mnie kimś obcym. Nadal pozostawałem Edwardem Bondem.

- Zastanawiam się - powiedział Matholch powoli, wpatrując się we mnie. - Długo przebywałeś na wygnaniu. Ciekaw jestem, czy zaszły w tobie istotne zmiany. Przedtem zawsze mnie nienawidziłeś, Ganelonie. Czy teraz także pałasz do mnie nienawiścią?

- Nie - odparłem. - Zresztą nie wiem. Chyba ci nie ufam.

- Masz powody, jeżeli w ogóle cokolwiek pamiętasz. Zawsze byliśmy wrogami, Ganelonie, chociaż powiązani ze sobą prawami i obowiązkami z racji przynależności do Zgromadzenia. Zastanawiam się, czy nadal musimy pozostawać wrogami.

- To zależy. Wcale nie pragnę mieć wrogów, zwłaszcza tutaj.

- Ach, przecież tak nie może mówić Ganelon. Dawniej w ogóle nie dbałeś o to, ilu masz wrogów. - Matholch ściągnął rude brwi. - Jeżeli aż tak bardzo się zmieniłeś, może okazać się to niebezpieczne dla nas wszystkich.

- Straciłem pamięć - powiedziałem. - I niewiele z tego rozumiem. Wszystko dzieje się jak we śnie.

Matholch zerwał się i zaczął nerwowo spacerować.

- W porządku. Jeżeli znów staniesz się tamtym Ganelonem, nadal będziemy wrogami. Wiem o tym. Lecz jeżeli wygnanie na Ziemię odmieniło cię, moglibyśmy zostać przyjaciółmi. Lepiej byłoby się zaprzyjaźnić. Nie spodobałoby się to Medei; Edeyrn także nie byłaby zadowolona. Jeżeli chodzi o Ghast Rhymiego... - Matholch wzruszył ramionami. - Ghast Rhymi jest już stary, bardzo stary. W całej Krainie Mroku ty, Ganelonie, posiadasz największą moc. Albo możesz ją osiąść. Trzeba będzie jednak pójść do Caer Llyr. - Matholch przerwał,

by spojrzeć mi w oczy.

- Wiesz, co to wtedy, dawno temu oznaczało - mówił dalej. - Bałeś się, ale pragnąłeś mocy. I poszedłeś kiedyś do Caer Llyr, aby zostać naznaczony. Dlatego między tobą i Llyrem istnieje więź, chociaż jeszcze się ona nie dokonała, ale może się dokonać, jeżeli zechcesz.

- Kim jest Llyr? - spytałem.

- Obyś sobie nie przypomniał - powiedział Matholch. - Jak zaczniesz rozmawiać z Medeą, strzeż się, kiedy będzie mówiła o Llyrze. Mogę być twoim przyjacielem lub wrogiem, Ganelonie, ale przez wzgląd na samego siebie, przez wzgląd na Krainę Mroku, a nawet przez wzgląd na buntowników ostrzegam cię - nie idź do Caer Llyr. Nieważne, czego zażąda Medea ani co obieca. Bądź ostrożny, przynajmniej dopóki nie odzyskasz pamięci.

- Kim jest Llyr? - spytałem raz jeszcze. Matholch odwrócił się do mnie plecami.

- Myślę, że Ghast Rhymi wie. Ja nie wiem i nie chcę wiedzieć. Llyr to... to wcielenie zła. Jest wciąż nienasycony. Zaspokaja swoją żądzę za pomocą... - Tu przerwał. - Ty przecież zapomniałeś - powiedział po chwili. - Ciekaw jestem jednego. Czy pamiętasz, jak przywołuje się Llyra?

Nie odpowiedziałem. W moim umyśle panowała ciemność. Do czarnych jak heban wrót na próżno kołatały myśli - nie rozstrzygnięte pytania.

Llyr... Llyr?

Matholch dorzucił do rozpalonego miedzianego kotła garść jakiegoś proszku.

- Potrafisz przywołać Llyra? - znów zapytał, ścisząc tym razem głos. - Odpowiedz, Ganelonie. Potrafisz?

Gorzki swąd spalenizny stał się bardziej intensywny. Ciemność przesłaniająca mój umysł rozstąpiła się, jakby rozdzierana na kawałki. Jakieś wrota rozwarły się w mroku. Rozpoznałem tę śmiertelną woń.

Wstałem, wpatrzony w Matholcha z wściekłością. Zrobiłem dwa kroki w przód, osłoniętą sandałem nogą kopnąłem kociol, przewracając go do góry dnem. Żarzące się węgle rozsypały się po kamiennej posadzce. Zaskoczony rudobrody odwrócił się do mnie twarzą.

Wyciągnąłem rękę, chwyciłem Matholcha za tunikę i dotąd nim potrząsałem, aż zaczął dzwonić zębami. Wpadłem w szaleńczą furję albo w coś jeszcze gorszego.

A więc Matholch wypróbowuje na mnie swoje sztuczki!

Ktoś inny mówił za mnie. Usłyszałem swój własny głos.

- Zachowaj czary dla niewolników i poddanych - warknąłem. - Ja będę mówił to, na co mam ochotę, i nic poza tym! Pal sobie te swoje ohydne ziółka gdzie indziej, a nie przy mnie.

Rudobrody wysunął szczękę. Żółte oczy zapłonęły ogniem. Twarz Matholcha zmieniła się, a ciało rozplynęło jak woda, ledwo dostrzegalne w kłębach dymu wydobywających się z rozrzuconego żaru. Błysnęły groźnie żółte kły.

Przemieniający się Matholch wydobył z siebie ochryply, nieartykułowany dźwięk, jakiś gardłowy odgłos wydawany przez zwierzęta. To przecież wycie wilka. Wilczy pysk patrzył mi już wściekle prosto w twarz.

Dym rozwiął się. Złudzenie minęło, ale czyżby tylko złudzenie? Matholch uwolnił się zręcznie z uścisku. Jego twarz, zmarszczona wcześniej od wilczych warknięć, odprężyla się.

- Prze... przestraszyłeś mnie, Lordzie Ganelonie - powiedział łagodnie. - Chyba dostałem już odpowiedź na pytanie, czy ziola mają z tym wszystkim coś wspólnego. - Kiwnął głową w stronę przewróconego do góry dnem miedzianego kotła.

Odwróciłem się do wyjścia.

- Zaczekaj - powstrzymał mnie Matholch. - Niedawno odebrałem ci coś - powiedział.

Zatrzymałem się.

Rudobrody podszedł do mnie, trzymając przed sobą broń - obnażony miecz.

- Zabrałem ci go, kiedy przechodziliśmy przez Ogień Klęski - powiedział. - Jest twój.

Przyjąłem broń i ruszyłem ponownie w stronę zasłoniętego przejścia o łukowatym sklepieniu.

Matholch mówił coś jeszcze za moimi plecami.

- Nie jesteśmy już wrogami, Ganelonie - oznajmił łagodnym głosem. - Jeżeli okażesz się rozsądny, zapamiętasz moją przestrożę. Nie chodź do Caer Llyr.

Wyszedłem. Z mieczem w ręku szybko schodziłem krętymi schodami w dół. Nogi bezwiednie odnajdywały drogę. Ten - intruz - wciąż mocno tkwił w moim mózgu. Palimpsest. Zamazany, wytarty zapis znów stawał się czytelny, jak gdyby poddany został działaniu jakiegoś silnego środka chemicznego.

Zapis, stanowiący moją utraconą pamięć.

Zamek był labiryntem. Skąd wiedziałem, że to zamek? Dwukrotnie przeszedłem obok stojących na warcie milczących żołnierzy, którzy mieli w oczach znajomy cień strachu, cień, który chyba się pogłębił na mój widok.

Szybko szedłem dalej jasnobursztynowym korytarzem. Odsunąłem na bok złocistą zasłonę, dostając się do wnętrza owalnego pomieszczenia o sklepionym suficie i ścianach wyściełanych jasnymi, jedwabnymi tkaninami. Na policzkach poczułem orzeźwiający pył wodny z tryskającej fontanny. Przez łukowe przejście po drugiej stronie komnaty widać było kontury liściastych gałęzi drzew.

Przeszedłem przez ten łuk, wstępując do otoczonego murami ogrodu. Ogrodu pełnego egzotycznych kwiatów i przedziwnych drzew. Kwiaty tworzyły orgię niepowtarzalnych barw jak iskrzące się klejnoty na tle czarnej ziemi. W kolorze rubinów i ametystów, kryształowo przezroczyste i śnieżnobiałe, srebrne, złote i szmaragdowe układały się w nieruchomy kobierzec. Jednak drzewa nie trwały w bezruchu.

Czarne pnie i gałęzie, powykrzywiane i poskręcane jak u dębów, okrywała chmura bujnego, intensywnie zielonego listowia.

Zielona kurtyna zaczynała teraz lekko falować. Drzewa budziły się do życia.

Zobaczyłem, jak czarne gałęzie skręcają się powoli i wiją...

Zaspokoiwszy ciekawość, zmniejszyły czujność i znów znieruchomiały. Musiały mnie rozpoznać.

W kontraście z ciemnym niebem ponad tym szatańskim sadem rozżarzone jak węgiel słońce lśniło jeszcze bardziej.

Drzewa znów się poruszyły.

Zielenią wstrząsnęły fale niepokoju. Wężowy konar, ciągnący za sobą liściastą osłonę, wymachiwał, uderzał, aż wreszcie szybko wskoczył z powrotem na miejsce.

Stamtąd ruszyła naprzód miotająca się zjawa, przemykając się i robiąc uniki przed drzewami-strażnikami, smagającymi ją bezlitośnie.

Biegł ku mnie osobnik w obcisłym kombinezonie koloru ziemistego brązu i leśnej zieleni, deptając po drodze kwiaty - klejnoty. Jego surowa, zuchwała twarz pałała podnieceniem i zwycięską radością. Biegł z próżnymi rękoma, za to u pasa zawieszoną miał broń podobną do pistoletu.

- Edward - powiedział wzburzonym, chociaż ściszym głosem. - Edward Bond - powtórzył.

Poznałem go, a raczej wiedziałem, kim był naprawdę. Widywałem już kiedyś podobne do niego, ubrane na zielono, przemykające się ukradkiem postacie. Na sam jego widok wzbierał we mnie dziwnie znajomy gniew.

To wróg, parweniusz. Jeden z wielu, którzy ośmielili się wypróbować swą magię na wielkim Lordzie Ganelonie.

Czułem, jak płomień gniewu zalewa mi twarz, a krew tętni w uszach z nową, chociaż dobrze mi znaną szaleńczą furją. Cały zeszywniałem, przybierając pozę Ganelona - odwiedzone do tyłu ramiona, szyderczo wykrzywione usta, wysunięty podbródek. Usłyszałem siebie, jak przeklinam tego typu zdławionym głosem w języku, którego prawie nie pamiętałem. Zobaczyłem teraz, że się cofa, z wyrazem nieufności na twarzy. Rękę opuścił na pas z bronią.

- Ganelon? - wyjąkał, mrużąc oczy w poszukiwaniu mojego wzroku. - Edwardzie, jesteś razem z nami, czy jesteś znów Ganelonem?

Rozdział 5

Szkarłatna Czarodziejka

W prawej ręce cały czas mocno ścisnąłem miecz. Zamiast odpowiedzieć zadawałem bezlitosne ciosy. Wtedy odskoczył, szybko spojrział przez ramię i wyciągnął broń. Podążając za jego wzrokiem, zauważyłem jeszcze jedną zieloną postać przemykającą się pośród drzew. Była mniejsza i bardziej wysmukła, ubrana w tunikę w kolorze ziemi i lasu: sylwetka dziewczyny. Na jej ramionach falowały czarne włosy. Szarpała w biegu za pasek. Miała twarz wykrzywioną nienawiścią. Warcząc, odsłaniała zęby.

- Edwardzie, wysłuchaj mnie! - krzyczał ten, którego miałem przed sobą. - Jeżeli nawet jesteś Ganelonem, musisz pamiętać Edwarda Bonda. Był z nami, zaufał nam. Wysłuchaj mnie, póki jeszcze nie jest za późno. Arles mogłaby cię przekonać, Edwardzie. Pójdź do niej. Nawet jeżeli jesteś Ganelonem, pozwól zaprowadzić się do Arles.

- Nie ma sensu, Ertu - dziewczyna zapiała cienkim głosem. Zmagła się z ostatnim już drzewem, które chciało ją powstrzymać, zaciskając na niej ruchome końce gałęzi jak szpony. Teraz żadne z nich nie tłumilo już donośnego głosu. Krzyczeli oboje, a ja wiedziałem, że w każdej chwili mogą zjawić się strażnicy. Chciałem zabić ich własnoręcznie, nim zjawi się ktoś przypadkowy i mnie uprzedzi. Byłem żądny i spragniony krwi wrogów. W tym momencie imię Edwarda Bonda nie było już nawet wspomnieniem.

- Zabij go, Ertu! - krzyknęła dziewczyna. - Zabij go albo zejź mu z drogi. Wiem, jaki jest Ganelon.

Spojrzałem na nią i ponownie zacisnąłem dłoń na mieczu. Tak, ona mówiła prawdę. Rzeczywiście znała Ganelona. On także ją znał i pamiętał jak przez mgłę, że miała powody do nienawiści. Widziałem już kiedyś tę twarz wykrzywioną z wściekłości i rozpacz. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, kiedy i jak to było, ale wydawało mi się, że ją skądś znam.

Mężczyzna imieniem Ertu niechętnie wyciągał broń. Przynajmniej w wyobraźni wciąż byłem dla niego uosobieniem przyjaciela. Roześmiałem się radośnie, znów wymachując w jego stronę mieczem, który syczał nienawistnie, przecinając powietrze. Tym razem drasnąłem go do krwi. Znów się cofnął, podnosząc broń na tyle wysoko, że mogłem zajrzeć do wnętrza czarnej lufy.

- Nie zmuszaj mnie, bym to zrobił - wycedził przez zęby. - To minie. Byłeś Edwardem Bondem i staniesz się nim z powrotem. Nie zmuszaj mnie, bym cię zabił, Ganelonie.

Uniosłem w górę miecz, ledwie dostrzegając przeciwnika, którego przesłaniał mi krwiożerczy gniew. Poczulem w sobie szaloną radość. Już miałem przed oczyma fontannę krwi tryskającą z jego porozrywanych żył, w chwili kiedy ostrze miecza dopełni ciosu.

Zebrałem siły, by wymierzyć potężne uderzenie z pełnego zamachu.

Nagle miecz ożył mi w dłoni. Podskoczył i zadrżał w zaciśniętej pięści.

Cios w jakiś nieprawdopodobny sposób, którego nie potrafię opisać, przybrał kierunek odwrotny. Cała zgromadzona we mnie energia, zamiast skoncentrować się na przeciwniku, jakby odbita rykoszetem spłynęła wzdłuż miecza i ręki, godząc w moje własne ciało. Gwałtowny wstrząs i nagły atak bólu zwały mnie z nóg. Twarda ziemia wbijała mi się w

kolana.

Przesłaniająca oczy mgła zniknęła. Pozostałem Ganelonem, tyle tylko, że oszłomiony czymś znacznie potężniejszym niż sam cios.

Kłęczałem teraz na trawie, podpierając się jedną ręką, trzęsąc rozdygotanymi palcami drugiej, tej od miecza, i wpatrując się w to ostrze, które leżało w odległości kilku metrów ode mnie i jeszcze się jarzyło nikłym blaskiem.

To robota Matholcha, wiedziałem o tym. Powiniennem był pamiętać, że temu zmiennemu, niepewnemu wilkołakowi wcale nie można ufać. Kiedy podniosłem na niego rękę tam w jego wieży, powiniennem zdawać sobie sprawę, że będzie się mścił. Nawet taki potulny głupiec jak Edward Bond wykazałby dość rozsądku, by nie przyjąć podarunku od wilkołaka.

Nie było czasu, żeby wściekać się teraz na Matholcha. Patrzyłem przecież w oczy Ertu i zaglądałem w lufę jego broni. W twarzy mężczyzny, który przyglądał mi się badawczo, powoli dojrzewiała decyzja.

- Ganelon - czarownik! - syknął. Następnie opuścił lufę i przesuwając palec na spust wycelował we mnie.

- Ertu, zaczekaj! - krzyknęła zza niego dziewczyna cienkim głosikiem. - Zaczekaj, zostaw go mnie!

Wciąż oszłomiony popatrzyłem nieprzytomnie. Wszystko działo się bardzo szybko - dziewczyna szamotała się jeszcze z drzewami, ale kiedy tam spojrzałem, już się z nich uwalniała i podnosiła do góry broń, zza której widać było bladą, palającą bezlitosną nienawiścią twarz.

- Zostaw go mnie! - krzyknęła jeszcze raz. - To mu się ode mnie należy.

Byłem bezradny. Wiedziałem, że pomimo odległości nie chybi. W jej oczach dostrzegłem dziką pasję. Zauważyłem wprawdzie nieznaczne drżenie lufy, kiedy ręka dziewczyny zatrzęsała się w furii, ale wiedziałem, że trafi. Zacząłem myśleć o mnóstwie różnych rzeczy; pomieszane wspomnienia Ganelona i Edwarda Bonda przepływały jedną falą przez umysł.

Po chwili spomiędzy drzew za plecami dziewczyny dał się słyszeć świst potężny jak poryw wichru. Drzewa przechyliły się w jej stronę z nadzwyczajną prędkością. Uginały się, wyprężały i świszczały zaciekle i zawzięcie. Ertu wykrzyknął coś nieartykułowanego. W dziewczynę wstąpił jednak tak wielki gniew, że nie mogła tego ani słyszeć, ani widzieć.

Nie zdała sobie w ogóle sprawy, co się dzieje. Poczula jedynie potężne, łamiące kości uderzenie konarem, którym dosięgło ją przechylone drzewo. Wystrzeliła w chwili otrzymania ciosu; rozżarzony do białości piorun zrył darń tuż przy moim kolanie. Poczulem zapach zwęglonej trawy.

Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie, kiedy chciwe, pokręcone konary oplątywały ją naokoło. Skłębione gałęzie tłukły zawzięcie. Nagle usłyszałem pojedynczy, wyraźny, charakterystyczny trzask, odgłos, który na pewno już kiedyś w tym ogrodzie słyszałem. W uścisku takich potężnych konarów kręgosłup człowieka jest zaledwie kruchą gałązką.

Wszystko to sprawiło Ertu w chwilowe oszłomienie. Wkrótce jednak ruszył pędem na mnie i tym razem wiedziałem już na pewno, że nie zadrży mu palec na spuście.

Dla tej pary leśnych ludzi czas już jednak upłynął. Ertu nie zdążył się jeszcze odwrócić, kiedy zza moich pleców dobiegł spokojny, wesóły śmiech. Na ogorzałej twarzy mężczyzny dostrzegłem błysk odrazy i nienawiści. Natychmiast odwrócił się ode mnie i wymierzył do tego kogoś za moimi plecami. Zanim jednak zdołał nacisnąć spust, jakby biała świetlna strzała przemknęła lukiem ponad moim ramieniem i ugodziła go tuż nad sercem.

Natychmiast padł. Wykrzywione usta zdrętwiały, oczy wyszły na wierzch.

Odwróciłem się, z wolna próbując się podnieść. Obok stała uśmiechnięta Medea. Ubrana w obcisłą szkarłatną suknię, była bardzo smukła i wyglądała ślicznie. W ręku trzymała niedużą czarną różdżkę, wciąż unosząc ją ku górze. Jej purpurowe oczy napotkały mój wzrok.

- Ganelonie - wyszeptała niezmiernie tkliwym głosem. - Ganelonie - powtórzyła. Wciąż zatrzymując mój utkwiony w nią wzrok, klasnęła delikatnie w dłoń.

Szybkim krokiem weszli w milczeniu strażnicy, podnieśli martwe ciało Ertu i zabrali je. Drzewa poruszyły się, zaszumiały i umilkły.

- Przypomniałeś sobie - przemówiła Medea. - Ganelon jest znów nasz. Pamiętasz mnie. Lordzie Ganelonie?

Medea, czarodziejka z Kolchidy. Stała, uśmiechając się do mnie, cała w czerni, w bieli i w szkarłacie. Jej przedziwny czar wzniecał w moich żyłach dawne, zapomniane wspomnienia. Żaden mężczyzna, który znał Medeę, nie mógłby całkowicie o niej zapomnieć. Pamiętałby do końca świata.

Zaraz, zaraz. Jeżeli chodzi o Medeę, jest jeszcze coś, o czym należy pamiętać. Coś, co sprawia, że nawet Ganelon stał się trochę podejrzliwy i bardziej ostrożny. Ganelon? Czyżbym znów był Ganelonem? Kiedy stali przede mną leśni ludzie, czułem się w pełni sobą, jak dawniej, ale teraz nie miałem tej pewności.

Pamięć wygasła. Kiedy stanęła przede mną ta piękna czarodziejka i uśmiechnęła się, wszystko, co uczyniło mnie na chwilę Ganelonem, opuściło mój umysł i ciało jak opadająca maska. To Edward Bond w moim przebraniu rozglądał się po leśnej polanie, wspominając z przerażeniem i odrazą to, co się właśnie wydarzyło.

Odwróciłem się na chwilę, by ukryć przed Medea swą twarz, która na pewno by mnie zdradziła. Czulem zawrót głowy nie tylko z powodu wspomnień. Świadomość faktu, że moje ciało łączyło w sobie dwie tożsamości, była znacznie bardziej nieznośna aniżeli pamięć o tym, co właśnie zrobiłem pod władzą szatańską woli Ganelona.

Tak, to ciało Ganelona. Teraz nie miałem już co do tego żadnej wątpliwości. Edward Bond był gdzieś z powrotem na Ziemi, na swym dawnym miejscu, ale kod jego pamięci wciąż przygniatał mi umysł. Dzielilem z nim wspólną duszę. Ganelon nie istniał, z wyjątkiem krótkotrwałych, pojedynczych chwil, kiedy powracające wspomnienia, które należały do mnie - ale czy naprawdę do mnie? - wypierały Edwarda Bonda.

Nienawidziłem Ganelona. Odrzucałem to, jakim był i co myślał. Moja fałszywa pamięć odziedziczona po Edwardzie Bondzie okazywała się silniejsza niż Ganelon. Byłem Edwardem Bondem, byłem nim właśnie teraz.

- Pamiętasz mnie, Lordzie Ganelonie? - tkliwy głos Medei przełamał moją walkę wewnętrzną, powtarzając to samo pytanie.

Odwróciłem się do niej, czując odbijające się na twarzy oszłomienie. Prawdziwe myśli uległy zatarciu.

- Nazywam się Bond - powiedziałem z uporem. Medea westchnęła.

- Wrócisz - powiedziała. - To trochę potrwa, ale Ganelon do nas powróci. Ponieważ znów patrzysz na znany ci świat, na to, co się dzieje w Krainie Mroku, w Zgromadzeniu, bramy twojej świadomości ponownie staną otworem. Myślę, że dzisiaj w nocy podczas Sabatu przypomnisz sobie więcej. - Szkarłatny uśmiech Medei nagle stał się niemal przerażający.

- Od czasu, kiedy udałam się do świata ziemskiego, a to już odległa przeszłość, nie odbył się tutaj ani jeden Sabat - mówiła dalej. - A w Caer Llyr jest ktoś, w kim wzbiera żądza ofiary. - Medea przeszła mnie wzrokiem mrużąc szkarłatne oczy. - Pamiętasz Caer Llyr, Ganelonie?

Kiedy wypowiadała te tajemne słowa, wróciło dawne przerażenie i odraza.

Llyr... Llyr. Mrok i coś, co się porusza za Złotym Oknem. Coś zanadto obcego, by dotykać ziemi, po której stąpały stopy ludzkie, coś, co nigdy nie powinno żyć życiem ludzi. Dotknięcie tej ziemi i życie tym życiem skalało ich na tyle, że stali się niegodni miana istot ludzkich. Pomimo odrazy Llyr pozostał wszakże dla mnie kimś niesłychanie bliskim!

Wiedziałem, pamiętałem...

- Nic nie pamiętam - odparłem zdawkowo. Od tamtej chwili zacząłem wykazywać ostrożność. Nie mogłem ufać nikomu, nawet samemu sobie. A już najmniej sobie - Ganelonowi. Oczywiście, że pamiętałem, ale nie powinienem dać im tego po sobie poznać. Dopóki nie będę miał jasności, czego chcą i czym mi grożą, to jedno muszę zachować w tajemnicy jako swoją jedyną broń.

Llyr. Na myśl o nim, kimkolwiek był, utrwaliło się we mnie przeświadczenie, że gdzieś w mrokach przeszłości Ganelona istniała przerażająca więź z Llyrem. Wiedziałem, że próbowano wtrącić mnie w tę otchłań jedności z nim. Wyczuwałem jednak, że nawet sam Ganelon się tego lękał. Dopóki cała sprawa nie rozjaśni się trochę w mojej pamięci, będę musiał udawać, że wiem mniej niż w rzeczywistości.

- Niczego sobie nie przypominam - powtórzyłem, kręcąc przecząco głową.

- Medei też nie? - spytała szeptem dziewczyna, pochylając się w moją stronę. Było w niej coś czarodziejskiego. Moje ramiona przyjęły jej szkarłatno-białą miękkość, jak gdyby były to ramiona Ganelona, nie moje własne. A jednak to usta Edwarda Bonda odpowiedziały na dziki napór jej ust.

Czyżbym nie pamiętał Medei?

Edward Bond czy Ganelon, jakie to miało teraz znaczenie? Liczyła się tylko ta chwila.

Dotknięcie szkarłatnej czarodziejki odmieniło Edwarda Bonda. Wywołało w nim czy we mnie uczucie całkowitej obcości. Trzymałem przecież w ramionach rozkoszne, uległe ciało Medei, lecz kiedy dotknęliśmy siebie, coś obcego i nieznanego uniosło się nade mną i nachyliło. Podejrzewałem, że ona trzyma się na wodzy, powstrzymując demona, który nią zawładnął i walczy, by się uwolnić.

- Ganelonie! - krzyknęła, drżąc.

Odepchnęła się dłońmi od mojej piersi i oswobodziła. Na jej pobladłym czole pojawiły się maleńkie kropelki potu.

- Już dosyć - wyszeptała. - Przecież wiesz.

- Co, Medeo?

Szkarłatne oczy zamarły teraz z przerażenia.

- Zapomniałeś - powiedziała. - Zapomniałeś o mnie. Nawet nie pamiętasz, kim jestem, czym jestem!

Rozdział 6

Droga do Caer Secaire

W komnatach należących do Ganelona czekałem teraz na rozpoczęcie Sabatu. Spacerowałem nerwowo, chodziłem tam i z powrotem, stawiając nogi Ganelona, stąpając po jego posadzce. Pomimo wszystko tym przechadzającym się człowiekiem był Edward Bond. Zdumiony zastanawiałem się, w jaki sposób fałszywy kod pamięci drugiej osoby, odcisnięty w czystym i chłonnym jak gąbka mózgu Ganelona, sprawił, że tamten człowiek zmienił się we mnie.

Ciekaw byłem, czy kiedykolwiek odzyskam jeszcze pewność co do tego, która osobowość jest moją własną. Teraz nienawidziłem Ganelona i nie ufałem mu. Wiedziałem przecież, że dawna jaźń z łatwością wślizgiwała się we mnie z powrotem, i za to właśnie pogardzałem Edwardem Bondem.

Żeby ratować siebie, muszę przywołać pamięć Ganelona. Muszę wiedzieć więcej, niż wszyscy wokół podejrzewają, że wiem, sądziłem bowiem, że Ganelon i Bond razem nie przetrwają. Od Medei niczego się nie dowiem. Od Edeyrn też nie. Matholch mógłby sporo mi powiedzieć, ale byłyby to same kłamstwa.

Nie bardzo miałem odwagę iść z nimi na Sabat, który będzie chyba Sabatem Llyra ze względu na ów osobliwy, przerażający związek łączący go ze mną. Prawdopodobnie nie obejdzie się bez ofiar.

Skąd mam mieć pewność, że nie zostanę przeznaczony na ołtarz przed Złotym Oknem?

Pamięć Ganelona powróciła teraz na krótką, nie określoną w czasie chwilę. Przywołane zostały wyrywkowe wspomnienia, które przelatywały mi przez umysł zbyt szybko, aby przybrać realne kształty. Wychyciłem z nich wyłącznie paniczny strach, odrazę i przerażającą, beznadziejną tęsknotę...

Jak tu się nie lękać Sabatu?

Jednak nie odważyłbym się tam nie pójść. Gdybym odmówił, przyznałbym się, że wiem więcej o tym, co zagraża Ganelonowi, niż powinien wiedzieć Edward Bond. Moją jedyną, słabą zresztą bronią przeciwko tamtym stanowiło teraz to, co zdołałem sobie przypomnieć i zataić. Muszę tam pójść. Nawet gdyby zgotowano mi ołtarz ofiarny, muszę iść.

Byli tam leśni ludzie wyjęci spod prawa, tropieni po lasach przez żołnierzy Zgromadzenia. Schwywanie oznaczało niewolę. Przypomniałem sobie spojrzenie znieruchomiałych z przerażenia oczu tamtych na pół żywych, na pół martwych ludzi - poddanych Medei. Jako Edward Bond współczułem im, zastanawiając się jednocześnie, czy mógłbym coś dla nich zrobić, żeby ich ocalić przed Zgromadzeniem. Prawdziwy Edward Bond żył wśród nich przez półtora roku, organizując ich do walki przeciwko Zgromadzeniu. Wiedziałem, że tam na Ziemi szaleje teraz bezradnie z wściekłości, dręczony świadomością nie dokończonego zadania i porzucenia przyjaciół zdanych na łaskę i niełaskę czarnej magii.

Może powinienem odszukać leśnych ludzi. Przynajmniej byłbym wśród nich bezpieczny do chwili odzyskania pamięci. Kiedy ta powróciłaby, jakżeż Ganelon unosiłby się gniewem, wpadał w szal, opętany furią i przepelniony butą. Czy odważyłbym się wystawiać leśnych ludzi na niebezpieczeństwo ze strony Wielkiego Ganelona, z chwilą kiedy odzyskałbym pamięć? Czy nie bałbym się narażać siebie na ich zemstę, a przecież cała masa opowiedziałaby się przeciwko jednemu.

Ani nie powinienem tam chodzić, ani tym bardziej pozostać. Edward Bond nigdzie nie był bezpieczny, ponieważ każdej chwili mógł stać się Ganelonem. Niebezpieczeństwo czyhało wszędzie, zarówno ze strony zbuntowanych leśnych ludzi, jak i ze strony członków Zgromadzenia.

Mogło też nadejść za sprawą zdziczałego, zmutowanego Matholcha.

Albo za sprawą Edeyrn, obserwującej mnie niepostrzeżenie z lodowatych mroków kaptura.

Albo za sprawą Ghasta Rhymiego, kimkolwiek był. Albo za sprawą Arles, a może za sprawą szkarłatnej czarodziejki?

Tak, chyba przede wszystkim za sprawą Medei - tej Medei, którą kochałem.

O zmierzchu zjawily się dwie dziewczyny, służące-niewolnice. Przyniosły jedzenie i strój do przebrania. Szybko się posiliłem, włożyłem zwyczajną tunikę z delikatnej tkaniny, krótkie spodnie i zarzuciłem na siebie błękitny królewski płaszcz, który również został mi przyniesiony. Niezdecydowanie poruszałem zawieszoną na ręku maską ze złotej materii. Wreszcie jedna z

dziewcząt przemówiła.

- Mam cię zaprowadzić, kiedy będziesz gotów, panie - ponagliła mnie.

- Już jestem gotów - powiedziałem, podążając za obiema. Specjalny system ukrytych przyćmionych świateł rozjaśniał korytarz. Zaprowadzono mnie do komnaty Medei, gdzie pod wysokim sklepieniem szumiała fontanna. Szkarłatna czarodziejka, ubrana w obcisłą śnieżnobiałą szatę, wyglądała urzekająco pięknie. Jej nagie, wystające znad sukni ramiona lśniły gładkością. Miała na sobie purpurowy płaszcz; mnie okrywał błękitny. Niewolnice wymknęły się po cichu. Medea uśmiechnęła się do mnie. Dostrzegłem w niej potężne napięcie, widoczne szczególnie wyraźnie w kącikach ust i w oczach. Sprawiała wrażenie przepelnionej oczekiwaniem.

- Jesteś gotów, Ganelonie?

- Nie wiem - odpowiedziałem. - To zależy. Nie zapominaj, że straciłem pamięć.

- Może odzyskasz ją dzisiaj w nocy, przynajmniej częściowo. Nie będziesz brał żadnego udziału w obrzędach, co najwyżej dopiero po złożeniu ofiary. Byłoby lepiej, gdybyś tylko się przyglądał. Ponieważ nie pamiętasz rytuału, najlepiej zrobisz, jeżeli pozostawisz to innym ze Zgromadzenia.

- Matholchowi?

- I Edeyrn - dodała Medea. - Ghast Rhymi nie przybędzie. On nigdy nie opuszcza Zamku i nie opuści go, dopóki nie będzie miał naprawdę poważnego powodu. Jest stary, zbyt stary.

- Dokąd idziemy? - zapytałem szkarłatną czarodziejkę, spoglądając na nią spod zmarszczonych brwi.

- Do Caer Secaire. Mówiłam ci już, że nie złożono ani jednej ofiary od czasu, kiedy udałam się na Ziemię, by poszukiwać ciebie. To odległa przeszłość.

- Ale co ja miałbym tam robić?

Medea wyciągnęła smukłą dłoń i dotknęła mojej ręki.

- Nic, dopóki nie nadejdzie odpowiednia chwila - powiedziała. - Dowiesz się, kiedy to nastąpi. Do tego czasu masz się przyglądać, nic poza tym. Teraz włóż maskę.

Sama również nasunęła niedużą czarną osłonę, pozostawiając odkrytą dolną połowę twarzy.

I ja włożyłem złotą maskę, podążając za Medea do zasłoniętego łukowego przejścia, a potem dalej.

Znaleźliśmy się na dziedzińcu. Czekwały tam przytrzymywane przez stajennych dwa konie. Medea dosiadła jednego, ja - drugiego.

Niebo ściemniało się nad nami. Olbrzymia brama w murze została podniesiona. Przed nami rozciągała się droga w kierunku odległego lasu.

Ciemnoczerwona tarcza złowrogiego, nabrzmiałego słońca, paląc się gasnącym już ogniem, dotknęła wierzchołka grzbietu górskiego.

Wkrótce potem zatonęła. Ciemności w okamgnieniu przesłoniły niebo. Ukazały się całe miliony punkcików białego światła. W słabej poświacie gwiazd twarz Medei była upiornie blada; błyszczały tylko jej oczy.

Z odległości dobiegł piskliwy sygnał trąbki. Po chwili powtórzono go.

Potem zapadła cisza, przerywana najpierw szmerem, który wzmógł się następnie aż do głuchego odgłosu podkutych kopyt.

Obok nas przesunęła się postać strażnika - niewolnika z odsłoniętą twarzą, milczącego, ze wzrokiem skierowanym w stronę otwartej bramy.

Potem ukazywały się kolejne sylwetki, aż przeszło około sześćdziesięciu żołnierzy, a za nimi prawie tyle samo dziewcząt - niewolnic.

Na zwinnym, szybkim, dereszowatym ogierze przejechał Matholch, rzucając na mnie ukradkowe spojrzenie żółtych oczu. Wokół ramion wirował mu płaszcz w kolorze leśnej zieleni.

Za Matholchem, na kucyku dostosowanym do wzrostu, jechała malutka Edeyrn. Była jak zwykle w kapturze zakrywającym twarz. Miała na sobie płaszcz w intensywnie żółtym kolorze.

Medea dała mi znak skinieniem głowy. Dotknęliśmy piętami boków końskich i ruszyli naprzód, aby zająć miejsca w kolumnie. Za nami podążali jeszcze jacyś jeźdźcy, których nie widziałem wyraźnie. Było zbyt ciemno.

Przejechaliśmy przez bramę w murze, w ciszy zmałconej tylko stukotem kopyt. Teraz mknęliśmy przez równinę, osiągając już prawie skraj lasu. Las wkrótce nas pochłonął.

Odwróciłem się. Na tle nieba widać było ogromne cielsko zamczyska.

Jechaliśmy pod opadającymi ciężko konarami. To nie były tamte czarne drzewa z ogrodu Medei, chociaż także nie wyglądały normalnie. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego z otaczającego nas i rozpościerającego się wszędzie ponad nami mroku dosięgało mnie jakieś nie dające się opisać uczucie niesamowitości.

Po pewnym czasie teren zaczął się pod nami obniżać. Zobaczyliśmy, że poniżej kończyła się droga. Wszedł spóźniony księżyc. W jego żółtawym blasku przybierało rzeczywiste kształty coś w rodzaju wieży, która wyrastała z głębi doliny. Była to mroczna konstrukcja bez okien, zbudowana w planie niemalże gotyckim. Wydawało się, że została jakby wypchnięta z czarnej ziemi, z mrocznego gaju sędziwych, nieznanych drzew.

Caer Secaire.

Już kiedyś tutaj byłem. Ganelon z Krainy Mroku dobrze znał to miejsce. Mnie nie było ono znane, chociaż odczuwałem w nieprzyjemny sposób jego bliskość. Tak jak w przypadku znanego wszystkim psychologom zjawiska *deja vu*, powiązanego z osobliwą depersonalizacją, jak gdyby moje własne ciało, umysł i prawdziwa dusza stały się odmienione i obce.

Caer Secaire. Secaire? Gdzieś w swoich lekturach natknąłem się na tę nazwę. To jakiś pradawny rytuał w... w Gaskonii. Tak, to musi być to!

Msza Świętego Secaire'a.

Człowiek, dla którego zostanie odprawiona ta Czarna Msza, umiera. To również sobie przypomniałem. Czyżby dzisiaj w nocy miano odprawić Mszę dla Ganelona?

To nie była Siedziba Llyra. Skądś wiedziałem, że Caer Llyr znajdował się gdzie indziej i wyglądał inaczej, nie jak świątynia, nie jak miejsce odwiedzane przez wiernych. Tutaj do Caer Secaire, podobnie jak do innych świątyń rozsianych po całej Krainie Mroku, Llyr mógł zostać wezwany na swoją ucztę i, przywołany, zjawiłby się.

Czyżby dzisiaj w nocy przeznaczono na ucztę Ganelona? Z nerwowym drżeniem rąk mocno ściągnąłem wodze. Wokół wyczuwało się stan napięcia, którego nie rozumiałem. Jadąca obok mnie Medea zachowywała spokój. Edeyrn zawsze panowała nad sobą. Jeżeli chodzi o Matholcha, mógłbym przysiąc, że nie miał żadnego powodu do zdenerwowania. A jednak ta noc pełna była napięcia, którym jakby zionęły na nas mroczne, tajemnicze drzewa wzdłuż drogi.

Na przedzie szedł w milczeniu pokorny tłum żołnierzy i niewolnic. Niektórzy mieli broń. Odnosiło się wrażenie, że pilnują reszty jak stada. Wykonywali swoje czynności w sposób mechaniczny, jak gdyby wszystko, co robili kiedyś dobrowolnie, zostało w nich uśpione. Choć tego nie powiedziano, znany mi był cel, dla którego prowadzono tych mężczyzn i kobiety w kierunku Caer Secaire. Milczące, bezwolne ofiary nawet nie odczuwały stanu napięcia. Bez zastanowienia podążały na zatracenie, i Tak, napięcie nadciągało z otaczających nas ciemności.

Ktoś lub coś czyhało pośród nocy.

Rozdział 7

Leśni ludzie

Nagle z głębi leśnych ciemności zabrzmiały w powietrzu przeraźliwe dźwięki trąbki. Jednocześnie z gęstwiny dobiegł uszu dziki łomot pomieszany z nagłym krzykiem i wrzaskiem. Noc utkana była teraz smugami błyskawic pochodzących z jakichś nieznanymi wystrzałów. Drogę wypełniły nagle zielone postacie, które wyroily się wokół kolumny niewolników na przedzie. Ruszyły do walki wręcz ze strażnikami, wkraczając między nas i bezwolne ofiary na czele.

Mój oszalały koń stanął dęba. Z trudem go ujarzmiłem, zmuszając, by opadł z powrotem na ziemię. Tymczasem znów uderzyło mi do głowy tamto dawne, odczuwalne już kiedyś wzburzenie wywołane żądnym krwi gniewem. Na widok leśnych ludzi Ganelon zmagał się, by zapanować nad sytuacją. Jego również pokonałem. Ku mojemu zdziwieniu i zaskoczeniu dostrzegłem w tym starciu możliwość odsieczki. Splecionymi w pętlę wodzami zdzieliłem mojego stojącego dęba konia między uszy i usiłowałem utrzymać równowagę.

Tuż obok mnie Medea uniosła się w strzemionach, posyłając strzały, grot za grotem, w sam środek bijatyki przed nami. Jej broń - czarna różdżka podskakiwała jej w dłoni za każdym strzałem. Edeyrn odsunęła się na bok, nie biorąc udziału w walce. Ta nieduża zakapturzona postać siedziała skulona w siodle, a jej niebywały spokój był czymś zatrważającym. Odnosiłem Wrażenie, że gdyby chciała, mogłaby w jednej chwili położyć kres tej walce.

Siodło Matholcha było puste. Jego koń pędził szamocząc się między drzewami. Wilkołak, radośnie powarkując, rzucił się na oślep do walki. Wydawane przez niego odgłosy wywoływały zimne dreszcze wzdłuż kręgosłupa. Dostrzegłem, że pod zielonym płaszczem kryły się niezupełnie ludzkie kształty. Kiedy pędził na czoło kolumny przez tłum ludzi w zieleni, ci odwracali się od niego.

Leśny lud rozpaczliwie próbował się ratować, z czego natychmiast zdałem sobie sprawę. Zauważyłem również, że nie odważyli się atakować samego Zgromadzenia. Wszystkie ich wysiłki zmierzały do pokonania przypominających roboty strażników, by również wyglądające jak roboty ofiary ocalić przed Llyrem. Widziałem jednak, że ponosili porażkę.

Ofiary były zbyt bezwolne, by się rozpierzchnąć. Cała energia została z nich w całości odprowadzona już dawno temu. Słuchały tylko rozkazów i na tym koniec. Tymczasem leśny lud nie miał swego wodza. Uświadomiłem to sobie po krótkiej chwili, odkrywając przyczynę. To była moja wina. Edward Bond zaplanował, być może, ten zuchwały atak, ale przeze mnie nie było go tutaj jako przywódcy. Daremna walka zbliżała się już prawie do końca.

Ogniste strzały Medei powalały jednego za drugim. Otumanieni strażnicy bez przerwy dawali ognia do otaczającego ich tłumy. Gardłowe, warkliwe, triumfujące ryki Matholcha, które wydawał torując sobie drogę do własnych żołnierzy, okazywały się potężniejsze niż broń. Napastnicy, słysząc odgłosy wilkołaka, wycofywali się, choć nie ustępowali przed ogniem wystrzałów. Wiedziałem, że Matholch wkrótce dotrze do swoich ludzi, a zorganizowany opór stłumi ten bunt bez przywódcy.

Mój umysł stał się na chwilę zażartym polem bitwy. Ganelon walczył, by zapanować nad sytuacją, a Edward Bond zawzięcie mu się przeciwstawiał.

Jako Ganelon wiedziałem, że moje miejsce jest u boku wilkołaka. Instynkt popychał mnie naprzód do niego, lecz Edward Bond też wiedział swoje. Doskonale się orientował, gdzie powinno być jego właściwe miejsce.

Podniosłem złotą maskę, odsłaniając twarz. Spiałem konia piętami, każąc mu pędzić na łeb na szyję drogą w dół za Matholchem. Sama masa konia dawała mi przewagę nad idącym pieszo wilkołakiem. Stukot kopyt i gwałtowny ruch do przodu mojego wierzchowca otwierały przede mną drogę. Uniosłem się w strzemionach i krzychałem tubalnym głosem Ganelona.

- Bond! Bond! Edward Bond! - rozchodził się mój ryk.

Buntownicy usłyszeli mnie. Walka załamała się na chwilę, ponieważ wszyscy ludzie w zieleni przerwali ją, by obejrzeć się za siebie. Nagle zobaczyli swego utraconego wodza.

- Bond! Edward Bond! - okrzyk przebrzmiał przez ich szeregi potężnym echem.

Teraz rozbrzmiewał nim cały las, dodając im na nowo odwagi. Ryk leśnych ludzi, znów ruszających całą falą do ataku, zagłuszył dzikie, gniewne warczenie Matholcha.

Pamięć Ganelona wskazywała mi, co mam robić. Leśni ludzie raz po raz ściągali z koni strażników, nie zważając na strzały, które kosily ich i tak już rozbite szeregi. Tylko ja byłem w stanie ocalić jeńców. Tylko głos Ganelona mógł przebić się przez to oszłomienie, dzięki któremu jeszcze trwali.

Podciąłem mojego rozszalalego konia i powalając strażników na lewo i na prawo dotarłem na czoło kolumny.

- Do lasu! - krzyknąłem. - Ocknijcie się i uciekajcie! Byle prędzej!

Niewolnicy natychmiast ruszyli całą falą naprzód. Pozostając wciąż w transie jak w koszmarnym śnie, lecz posłuszni głosowi członka Zgromadzenia, slaniając się na nogach przemknęli przez przerzedzony szereg strażników. Walka całkowicie zmieniła charakter, kiedy ci, którzy stanowili trzon kolumny, nieprzerwanym strumieniem parli gwałtownie naprzód na drugą stronę drogi, a potem w ciemność do lasu.

Ubrani na zielono napastnicy cofali się, aby przepuścić niewolników pierzchających w tej osobiwej, bezgłośnej ucieczce. Strażnicy nawet już nie krzyczeli, chociaż strzelali nieprzerwanie do wycofującej się kolumny. Twarze mieli tak obojętne, jak gdyby spali, nie śpiąc.

Skóra mi cierpła na widok tych mężczyzn i kobiet ratujących się ucieczką, padających od strzałów oddawanych przez uzbrojonych żołnierzy, na widok tych wszystkich twarzy bez żadnego kompletnie wyrazu. Biegli w milczeniu i w milczeniu umierali, kiedy dosięgały ich strzały.

Szarpnąłem gwałtownie konia, kopniakiem nakazując mu iść w ślad uciekającej kolumny. Zerwałem złotą maskę, która wcześniej zsunęła mi się na bok, i wymachiwałem nią do pierzchających leśnych ludzi. Księżycowe światło odbijało się jaskrawo od jej złocistej powierzchni.

- Ratujcie się! - krzyknąłem. - Rozproszyc się i za mną!

Tuż za sobą usłyszałem gardłowe warknięcie Matholcha. Kiedy mój wierzgający koń dał susa w poprzek drogi, obejrzałem się przez ramię. Wysoka postać wilkołaka zwrócona była śmiało w moją stronę, wyglądając znad głów własnych żołnierzy. Jego twarz wyglądała jak pysk warczącego wilka. Zauważyłem, jak Matholch podnosi do góry czarną różdżkę podobną do tamtej, którą miała Medea. Kiedy zobaczyłem wyskakujące z niej strzały białego ognia, prędko pochyliłem się w siodle.

Ten ruch mnie uratował. W miejscu, gdzie błękitna peleryna nagle zawirowała, poczułem silne szarpnięcie w plecach. Usłyszałem odgłos rozdzieranej tkaniny, którą ognista strzała rozpruła i wpadła ze świstem w ciemność. Mój koń rzucił się naprzód w las.

Wszędzie wokół szeleściły drzewa, a mój zdezorientowany wierzchowiec potykał się i podrzucał lbem, rżąc z przerażenia. Tuż obok dobiegł mnie w ciemności czyjś miękki, łagodny

głos.

- Tędy - usłyszałem. Jednocześnie czyjaś ręka chwyciła za uzdę.

Pozwoliłem, aby leśny człowiek poprowadził mnie w mrok. Kiedy nasza kolumna dotarła wreszcie znużona do kresu podróży, czyli do doliny między skalnymi ścianami, gdzie leśni ludzie mieli swoją fortecę, właśnie zaczynało świtać. Chociaż wszyscy byli umęczeni, ocaleni przez nas niewolnicy o obojętnych twarzach mozolnie posuwali się za mną naprzód w nieregularnym szyku, nawet nie czując poranionych stóp i omdlewających z wyczerpania ciała.

Leśni ludzie przemykali się między drzewami, czujni na wypadek pościgu. Rannych nie mieliśmy. Strzały, którymi razilo Zgromadzenie, nie zadawały ran. Każdy, kto został trafiony, padał trupem na miejscu.

W bladym świetle brzasku nie rozpoznałbym, że rozciągająca się przede mną dolina stanowi główną siedzibę dużego plemienia. Robiła wrażenie kompletnie pustej, jeżeli nie liczyć rozrzuconych głazów, porośniętych mchem zboczy i przepływającego przez jej środek małego strumyka, różowego w blasku wschodzącego słońca.

Po chwili ktoś wziął ode mnie konia. Szliśmy dalej pieszo przez dolinę, a za nami tłum niewolników - robotów. Chyba posuwaliśmy się szybko naprzód tym pustkowiem. Kiedy minęliśmy już połowę doliny, leśny człowiek idący z mojej prawej strony położył mi nagle rękę na ramieniu. Zatrzymaliśmy się. Tłum za nami zbił się bezszelestnie w gromadę. Otaczający mnie leśni ludzie byli uśmiechnięci. Popatrzyłem w górę.

Stała na wysokim głazie tworzącym występ skalny ponad strumieniem. Ubrana była po męsku w miękką, aksamitną, zieloną tunikę, przepasaną pasem z wiszącą u bioder bronią. Jej włosy spływały z ramion jak jakiś fantastyczny płaszcz, sięgając prawie do kolan jasnozłotą kaskadą, która falowała jak woda. Korona z jasnozłocistych liści w kolorze włosów podtrzymywała je, by nie opadały na twarz. Spoglądała w dół spod świecącej aureoli, obdarzając nas uśmiechem. Przede wszystkim uśmiechała się do mnie, do Edwarda Bonda.

Miała prześliczną twarz. Były z niej niewinność i błogi spokój jak z oblicza świętych. Czerwień ust zdradzała serdeczność i wesołość. Oczy jej były tego samego koloru co tunika - ciemnozielone. W moim świecie nigdy nie spotkałem takich oczu.

- Witaj ponownie, Edwardzie Bondzie - powiedziała jasnym, słodkim, lekko ściszone glosem. Wydawało się, że przez całe lata mówiła po cichu i dlatego również teraz nie miała odwagi odezwać się głośnie.

Zwinnie zeskoczyła z głazu, poruszając się tak pewnie jak dzikie stworzenie, które całe życie spędziło w lesie. Zresztą chyba tak było i z nią. Wokół niej falowały włosy podobne do leciutkiej, delikatnej sieci pajęczej. Opierały się leniwie na ramionach tylko wtedy, kiedy zaczynała iść naprzód. Wydawało się, że kroczy otoczona jasnozłocistą aureolą.

Przypomniałem sobie, co mi powiedział w ogrodzie Medei leśny człowiek Ertu, zanim padł od jej strzały. "Arles mogłaby cię przekonać, Edwardzie. Nawet jeżeli jesteś Ganelonem, daj się zaprowadzić do Arles".

Teraz stałem właśnie przed obliczem Arles, z całą pewnością. Gdyby trzeba było mnie przekonać, że sprawa leśnych ludzi jest i moją sprawą, ta dziewczyna w aureoli przekonałaby mnie już od pierwszych słów. Jednak jeżeli chodzi o Ganelona...

Skąd miałem wiedzieć, jak postąpiłby Ganelon?

Na to pytanie odpowiedziano za mnie. Nim jeszcze zdołałem wymówić słowo, nim mogłem zaplanować swój następny krok, bez najmniejszego sprzeciwu tylu patrzących i nie zdających sobie z niczego sprawy oczu, podeszła do mnie Arles. Położyła mi ręce na ramionach i pocałowała mnie w usta.

Ten pocałunek w niczym nie przypominał pocałunku Medei. Usta Arles były chłodne i słodkie, szkarłatnej czarodziejki zaś - rozpalone niebezpieczną, rozkosznie ponętą piżmową wonią. Upojenie tamtą przedziwną namiętnością, jakiego doznałem, trzymając w ramionach Medeę, nie opuszczało mnie. W Arles była jakaś czystość i uczciwość, które sprawiały, że poczułem nagle straszliwą tęsknotę za Ziemią.

Dziewczyna cofnęła się. Jej zielone jak mech oczy spotkały się z moimi w cichym porozumieniu. Wydawało się, że ona na coś czeka.

- Arles - powiedziałem po chwili.

Chyba się ucieszyła. Zaczynająca pojawiać się na jej twarzy jakaś mglista wątpliwość zniknęła.

- Niepokoiliam się... czy oni nie wyrządzili ci krzywdy, Edwardzie? - spytała.

- Nie - odpowiedziałem, wiedząc instynktownie, co należało powiedzieć. - Nie dotarliśmy do Caer Secaire. Gdyby leśni ludzie nie zaatakowali, zostałyby... tak, zostałyby złożona ofiara.

Arles wyciągnęła rękę i odchyliła róg mojego rozdartego płaszcza. Położyła szczuple palce na jedwabistej tkaninie.

- Błękitna szata - powiedziała. - Tak, to kolor przeznaczonych na ofiarę. Dzisiaj w nocy kości zostały rzucone - bogowie zdecydowali przeciwko nam. Musimy uwolnić się od tej haniebnej gry.

Zielone oczy Arles zapłonęły ogniem. Zerwała ze mnie płaszcz, rozdarła i rzuciła na ziemię.

- Nie będziesz już więcej sam jeździł konno. Mówiłam ci, że to niebezpieczne, ale śmiałeś się ze mnie. Założę się, że kiedy schwytali cię niewolnicy Zgromadzenia, wcale się nie śmiałeś. A może było inaczej?

Skinąłem głową. Stopniowo narastała we mnie potworna wściekłość. A więc to błękit jest kolorem ofiary. Moje obawy nie były bezpodstawne. W Caer Secaire trafiłbym na ołtarz ofiarny, szedłbym ślepo na własną śmierć. Matholch oczywiście o tym wiedział. Trzeba by się wczuć w jego wilcze myślenie, by docenić ten żart. Edeyrn, z jej lodowatymi, nieludzkimi myślami ukrytymi w cieniu kaptura, również wiedziała. A Medea?

Odważyła się mnie zdradzić. Mnie, Ganelona!

Wielkiego Odźwiernego, Wybrance Llyra, potężnego Lorda Ganelona! Jak oni śmieli? W moim mózgu zagrział złowieszczy grom. Pomyślałem sobie: Na Llyra, oni to odpokutują. Będą czolgać się u moich stóp i skamlać jak psy, błagając o litość.

Niepohamowany gniew przerwał tamę. Edward Bond stanowił tylko zbiór licznych wspomnień, które umknęły ze mnie w chwili, gdy błękitny płaszcz opadł mi z ramion - ten błękitny płaszcz przeznaczonych na ofiarę, na ramionach Lorda Ganelona!

Spojrzałem przelotnie, bez zastanowienia, na otaczający mnie krąg postaci w zieleni. Jak ja się tutaj znalazłem? Jak śmieli ci leśni zwiadowcy zbuntować się przeciwko mnie? Krew huczała mi w uszach, a cała ta leśna kraina wirowała przed oczyma. Kiedy odzyskałem równowagę, gotów byłem chwycić za broń i ściąć całe żniwo tych parweniuszy jak kosiarz pszenicę.

Ale zarazi

Po pierwsze: zdradziło mnie Zgromadzenie - przyjaciele na śmierć i życie. Dlaczego to zrobili, dlaczego? Kiedy sprowadzili mnie z powrotem z innego świata, z obcej krainy - Ziemi, byli raczej zadowoleni na mój widok. Leśnych ludzi mógłbym zabić, kiedy bym chciał, ale nie to było najważniejsze. Ganelon - to człowiek przebiegły. Mogę przecież potrzebować pomocy leśnych ludzi, kiedy będę się mścił. A potem, no cóż, potem..

Intensywnie wysilałem pamięć. Cóż takiego mogło się wydarzyć, że Zgromadzenie obróciło się przeciwko mnie? Mógłbym przysiąc, że nie było to pierwotnym zamiarem Medei - zbyt szczerze witała mnie tutaj z powrotem. Mogła ulec wpływowi Matholcha, ale dlaczego, w imię czego? A może to sprawka Edeyrn albo samego Starca - Ghasta Rhymiego. W każdym razie dowiedzą się o swojej pomyłce tam przy wychodzącym w otchłań Złotym Oknie.

- Edwardzie - kobiecy głos, słodki i wystraszony, dobiegł do mnie jakby z bardzo daleka. Przedzierałem się przez wiry szaleńczej furii i nienawiści. Nagle ujrzałem bladą twarz w aureoli falujących włosów, zakłopotane zielone oczy i przypomniałem sobie.

Obok Arles stał jakiś obcy mężczyzna, którego zimne, szare oczy utkwione we mnie wywołały wstrząs, jakiego potrzebowałem, by wrócić do równowagi psychicznej. Patrzył na mnie tak, jakby mnie znał, to znaczy jakby znał Ganelona. Nigdy przedtem nie widziałem tego człowieka.

Był niski i krzepki, wyglądał młodo pomimo przetykanej siwizną krótko ostrzyżonej brody. Miał bardzo silnie opaloną twarz, prawie na kolor ziemistego brązu. Ubrany w obcisły zielony kombinezon stanowił doskonale uosobienie leśnego zwiadowcy, przemykającego się ukradkiem przez las, niewidzialnego i groźnego. Patrząc na jego potężne mięśnie zrozumiałem, że może być z niego trudny przeciwnik. Sposób, w jaki mi się przyglądał, zdradzał bezgraniczną wrogość.

Prawy policzek ściągała mu wyblakła, nieregularna blizna, wykrzywiając wąskie usta ku górze w sardonicznym, przyklepionym na stałe grymasie. Za to w lodowatych szarych oczach nie było nawet cienia uśmiechu.

Zauważyłem, że krąg leśnych ludzi cofnął się, otaczając nas jednak nadal pierścieniem i obserwując.

Brodaty wyciągnął rękę i zamaszystym ruchem odsunął Arles za siebie. Zrobił krok naprzód w moją stronę, bez broni.

- Nie, Lorrynie! - krzyknęła Arles. - Nie rób mu krzywdy. Lorryn gwałtownie zbliżył twarz do mojej twarzy.

- To Ganelon! - stwierdził.

Na dźwięk tego imienia przez otaczający nas leśny lud przeszedł szmer strachu i nienawiści. Zobaczyłem, jak ukradkiem dłonie przesuwają się w stronę rękojeści broni. Zauważyłem również, że twarz Arles zmieniła wyraz.

Dawna przebiegłość Ganelona przyszła mi z pomocą.

- Nie - powiedziałem, pocierając czoło. - Wszystko w porządku, jestem Bondem. Tamci ze Zgromadzenia dali mi jakiś narkotyk, który jeszcze działa.

- Co to za środek?

- Nie wiem - odpowiedziałem Lorrynowi. - Był w winie Medei, które wypilem. Poza tym zmęczyła mnie ta długa wyprawa dzisiaj w nocy.

Zrobiłem kilka chwiejnych kroków w bok i oparłem się o głaz, potrząsając jednocześnie głową, jak gdybym chciał wyzwolić się z tego stanu. Tylko czujnie nadstawiałem uszu. Cichy, podejrzliwy szept milkł stopniowo.

Poczułem dotknięcie chłodnych palców.

- Ależ, mój drogi - Arles zwróciła się do Lorryna - czy ty myślisz, że ja nie odróżniam Edwarda Bonda od Ganelona? Lorrynie, jesteś głupcem.

- Gdyby nie byli jednakowi, przecież nigdy nie zamienilibyśmy ich - powiedział Lorryn szorstko. - Musisz być pewna, Arles, całkowicie pewna.

Teraz szmer znów przybrał na sile.

- Lepiej wiedzieć na pewno - szemrali leśni ludzie. - Nie możemy ryzykować, Arles. Jeżeli on jest Ganelonem, musi umrzeć.

W zielonych oczach Arles znów pojawiła się wątpliwość. Odepchnęła moje ręce i przyglądała mi się. Nadal nie dowierzała.

Odwzajemniałem każde jej spojrzenie.

- No i co, Arles? - spytałem.

- Wiem, że to niemożliwe, ale Lorryn ma rację - mówiła z drżeniem warg. - Wiesz równie dobrze jak my, że nie możemy ryzykować. Mieć z powrotem szatańskiego Ganelona, po tym wszystkim, co się wydarzyło, to byłaby klęska.

Szatan, diabeł Ganelon. To prawda, nienawidził leśnego ludu, ale teraz pałał inną, jeszcze potężniejszą nienawiścią. Gdy miał chwilę zamroczenia, zdradziło go Zgromadzenie. Leśny lud może poczekać, ale zemsta - nie. To właśnie szatański Ganelon doprowadzi Caer Secaire i Zamek do zagłady, burząc go nad głowami Zgromadzenia!

Będzie to wymagało prowadzenia przemyślanej gry.

- Tak, Lorryn ma rację - powiedziałem. - Skąd macie wiedzieć, że nie jestem Ganelonem. A może ty wiesz, Arles. - Uśmiechnąłem się do niej. - Nie należy jednak podejmować żadnego ryzyka. Niech Lorryn podda mnie próbie.

- Tak? - Lorryn spojrzał na Arles, która odwróciła ode mnie niepewny wzrok w stronę brodatego mężczyzny.

- Myślę, że... to bardzo dobrze - wyjąkała.

- Mój test może okazać się zawodny. - Lorryn zaśmiał się, jakby szczekając. - Ale jest ktoś, kto potrafi dowieść prawdy: Freydis.

- Wobec tego niech Freydis podda mnie próbie - powiedziałem nie zwlekając, co Lorryn odplacił mi chwilą wahania.

- Bardzo dobrze - stwierdził wreszcie. - Jeżeli się mylę, przepraszam już teraz. Jeżeli mam rację, zabiję cię, w każdym razie będę usiłował cię zabić. Poza tobą jest tylko jedna taka istota, której z jeszcze większą przyjemnością odebrałbym życie, ale do tamtego wilkołaka nie mam, jak na razie, dostępu.

Lorryn dotknął policzka z blizną. Na myśl o Matholchu jego szare oczy ożywiły się i zapłonęły na chwilę dawnym ogniem. Widywałem różne przejawy zażartej wrogości, ale nieczęsto zdarzało mi się spotykać taką nienawiść, jaką Lorryn pałał do wilkołaka.

Dobrze, niech zabije Matholcha, jeżeli potrafi. Jest jeszcze jedno delikatniejsze gardło, w które pragnąłbym wbić swoje palce. Nawet magia nie ocaliłaby szkarłatnej czarodziejki, kiedy do Caer Secaire powróci Ganelon i własnoręcznie obróci w perzynę to całe Zgromadzenie, jak gdyby łamał spróchniałe gałęzie.

Szaleńczy gniew znów narastał i huczał jak spiętrzająca się fala. Podczas tej furii ucierpiał Edward Bond, ale przetrwał przebiegły Ganelon.

- Jak sobie życzysz, Lorrynie - powiedziałem spokojnie. - Chodźmy od razu do Freydis.

Brodaty kiwnął głową i zaraz potem ruszyliśmy w górę doliny w otoczeniu leśnego ludu. Z jednej strony miałem Lorryna, z drugiej - zaniepokojoną, zmartwioną Arles. Otumanieni niewolnicy szli całą falą naprzód.

Kiedy zbocza kanionu zwarły się ze sobą, w granitowej skale ukazało się wejście do jaskini.

Ustawiliśmy się nieregularnym półkolem przodem do groty. Zapadło milczenie przerywane tylko szumem liści na wietrze. Ponad skalną ścianę wspinało się czerwone słońce.

Z ciemności dobiegł niski, donośny, potężny głos.

- Nie śpię - powiedział. - Czego chcecie?

- Matko Freydis, mamy niewolników odbitych Zgromadzeniu - odpowiedziała szybko Arles. - Są pogrążeni we śnie.

- Przyślij ich do mnie.

Lorryn spojrział gniewnie na Arles i przepchnął się do przodu.

- Matko Freydis! - krzyknął.

- Przecież słyszę.

- Potrzebujemy twego jasnowidzącego wzroku. Ten człowiek, Edward Bond - to chyba Ganelon. Wrócił z Ziemi, na którą go wysłałaś.

Nastąpiło dłuższe milczenie.

- Przyślij go do mnie - odezwał się wreszcie niski głos. - Ale najpierw niewolników.

Na znak dany przez Lorryna leśni ludzie zaczęli zganiać pojmanych do wejścia do jaskini. Niewolnicy nie stawiali oporu. Całą gromadą wchodzili po omacku w grobową ciemność, znikając w niej jeden za drugim.

Lorryn spojrział na mnie, energicznie wsuwając głowę do wejścia do jaskini. Uśmiechnąłem się.

- Kiedy stamtąd wyjdę, znów będziemy przyjaciółmi, tak jak dawniej - powiedziałem.

- O tym musi zdecydować Freydis. - Wzrok Lorryna nie złagodniał.

- Freydis zdecyduje - powtórzyłem, zwracając się do Arles. - Nie ma się czego obawiać. Pamiętaj, nie jestem Ganelonem.

Cofnąłem się kilka kroków. Arles przyglądała mi się wystraszona i niepewna.

Milczący tłum leśnych ludzi uważnie obserwował i czekał, zachowując czujność, z bronią w pogotowiu.

Uśmiechnąłem się delikatnie i odwróciłem.

Zacząłem iść w kierunku wejścia do jaskini.

Pochłonął mnie mrok.

Rozdział 8

Freydis

To dziwne, że kiedy szedłem w ciemnościach po pochyłości, czułem się pewnie. Za zakrętem zauważyłem w pewnej odległości migotanie ognia. Uśmiechnąłem się. Trudno było mi

rozmawiać z parweniuszowskimi leśnymi zwiadowcami jak równy z równym, jakbym wciąż był Edwardem Bondem. Trudno będzie mi także rozmawiać z ich czarownicą, jak gdyby posiadała wiedzę równą członkom Zgromadzenia. Trochę musiała wiedzieć, ponieważ w przeciwnym razie nie potrafiłaby przeprowadzić zamiany, w wyniku której ja wysłany zostałem na Ziemię, a Edward Bond z niej zabrany. Pomyślałem sobie, że mógłbym oszukać zarówno ją, jak i każdą inną osobę podstawioną przez Buntowników.

W niewielkiej grocie za załomem korytarza nie było nikogo oprócz Freydis. Zastąpiłem ją odwróconą do mnie plecami. Klęczała przed kryształowym naczyniem, w którym niewielkim płomieniem palił się ogień, na pozór niczym nie podsycany. Miała na sobie białą szatę. Na plecach Freydis spoczywały dwa grube warkoczki siwych włosów. Przystanąłem, próbując poczuć się znów jak Edward Bond i ustalić, co też on by powiedział w takiej chwili. Wkrótce Freydis odwróciła się i wstała.

Rosła w górę jak olbrzym. Niewielu w Krainie Mroku mogło patrzeć mi prosto w oczy, lecz jasne spojrzenie niebieskich oczu Freydis spotkało się z moim wzrokiem na jednej wysokości. Jej rozłożyste ramiona i wielkie, gładkie ręce były potężne jak u mężczyzny. Chociaż liczyła sobie niemal lat, nie zdradzały tego ani swobodne ruchy, ani twarz bez wieku, którą właśnie do mnie zwróciła. Prawdziwe zwierciadło wiedzy stanowiły jej oczy. Kiedy w nie spojrzałem, zorientowałem się, że naprawdę jest stara.

- Witaj, Ganelonie - powiedziała tym swoim niskim, spokojnym głosem.

Wpatrywałem się w nią. Znała mnie niezawodnie, jakby czytała w moich myślach, chociaż byłem prawie pewien, że już nikt w Krainie Mroku tego nie potrafi. Na chwilę niemal zaniemówiłem. Wkrótce jednak moja pewność siebie przyszła mi na ratunek.

- Witaj, sędziwa kobieto - powiedziałem. - Przychodzę, by dać ci szansę przetrwania, pod warunkiem, że będziesz mi posłuszna. Mamy wspólne porachunki.

- Siadaj - Freydis uśmiechnęła się. - Kiedy ostatni raz rywalizowaliśmy ze sobą, zmieniałeś światy. Chciałbyś znów odwiedzić Ziemię, Lordzie Ganelonie?

Teraz przyszła moja kolej, żeby się roześmiać.

- Nie uda ci się. Jeżeli nawet miałoby ci się udać, nie zrobisz tego, kiedy już mnie wysłuchasz.

Błękitne oczy Freydis odszukały mój wzrok.

- Ty czegoś rozpaczliwie pragniesz - powiedziała przeciągle. - Sama twoja tutaj obecność i stawianie warunków tego dowodzą. Nigdy nie myślałam, że spotkam się z Lordem Ganelo-nem twarzą w twarz, chyba że pojmanym albo opętanym bitewnym szalem. To, że mnie teraz potrzebujesz, Wielki Ganelonie, oznacza dla ciebie niewolę. Jesteś spętany nagłą koniecznością i zarazem bezradny.

Freydis odwróciła się tyłem do ognia i usiadła z wdziękiem i lekkością, w pełni kontrolując ruchy swego olbrzymiego ciała. Poprzez płomienie w kryształowej kuli popatrzyła mi śmiało w oczy.

- Siadaj, Ganelonie - powtórzyła. - Będziemy się dogadywać. Tylko nie trwój mojego czasu na kłamstwa. Będę wiedziała, czy mówisz prawdę. Zapamiętaj to sobie.

- Dlaczego miałbym właśnie tobie zwracać głowę kłamstwami? - powiedziałem ze wzruszeniem ramion. - Nie mam niczego do ukrycia. Im więcej poznasz prawdy, tym ważniejszy wyda ci się mój problem. A tak w ogóle, co się stało z tymi niewolnikami, którzy weszli tutaj przede mną?

- Odesłałam ich do wnętrza góry - Freydis wskazała ruchem głowy w głąb jaskini. - Śpią. Są pogrążeni w głębokim śnie ogarniającym wszystkich, którzy przestali być pod działaniem czarów. Przecież wiesz, Lordzie Ganelonie.

- Nie... nie przypominam sobie. - Usiadłem, potrząsając przecząco głową. - Ja... prosiłaś, bym mówił prawdę, sędziwa kobieto. Zatem posłuchaj. Jestem Ganelonem, ale fałszywa pamięć Edwarda Bonda wciąż przesłania mi umysł. Przybyłem tutaj jako Edward Bond, ale Arles powiedziała mi coś, co sprawiło, że Ganelon powrócił. Mówiła, że kiedy miałem chwilę zaćmienia, Zgromadzenie ubrało mnie w błękitny płaszcz ofiarny, a kiedy jechałem konno do Caer Secaire, zaatakowali nas leśni ludzie. Czy muszę ci jeszcze wyjaśniać, czego najbardziej w życiu pragnę, czarownico?

- Zemsty na Zgromadzeniu - zabrzmiał tubalny głos Freydis. Jej rozpalone oczy patrzyły na mnie przez ogień. - Rzeczywiście mówisz prawdę. Liczysz na moją pomoc w tej zemście. Co możesz zaofiarować w zamian leśnemu ludowi poza ogniem i wojną? Dlaczego mielibyśmy ci ufać, Ganelonie? - Wiecznie młode oczy Freydis, wpatrzone we mnie, znów zapłonęły ogniem.

- Dlatego, że ty również czegoś pragniesz. Ja domagam się zemsty, a ty?

- Śmierci Llyra... zagłady Zgromadzenia! - Głos Freydis rozbrzmiewał donośnie, a z wiecznie młodej twarzy biła jasność.

- No widzisz. Ja również pragnę zagłady Zgromadzenia i... śmierci Llyra. - Kiedy to mówiłem, drętwiał mi język, nie wiadomo dlaczego. To prawda, że zostałem kiedyś naznaczony przez Llyra podczas jakiegoś uroczystego, okrutnego obrzędu - to wszystko, co pamiętałem. Jednak Llyr i ja nie staliśmy się jednym. Możliwe, że nastąpiłoby to, gdyby wypadki potoczyły się inaczej. Wzdrygnąłem się na samą myśl.

Tak, pragnąłem śmierci Llyra, musiałem się jej domagać, jeżeli chciałem mieć nadzieję na przetrwanie.

- Może rzeczywiście jest tak, jak mówisz. Być może tak jest. - Freydis przeszła mnie wzrokiem i skinęła głową. - Czego od nas oczekujesz, Ganelonie?

- Chcę, żebyś przysięgła swym ludziom, iż jestem Edwardem Bondem - zacząłem mówić pośpiesznie. - Teraz mogę uczynić dla nich więcej, niż mógł Edward Bond. Dziękuj, że znów jestem Ganelonem, sędziwa kobieto. Przecież tylko on jest wam w stanie pomóc. Posłuchaj. Twoi leśni ludzie nie mogliby mnie zabić. Wiem o tym. Ganelon jest nieśmiertelny, chyba że znalazłby się na ołtarzu Llyra. Mogli mnie jednak spętać i trzymać jako więźnia do czasu, kiedy znów zaczęłabyś odprawiać swoje czary i sprowadzić Edwarda Bonda z powrotem. Byłoby to

nierozsądne zarówno z twojego punktu widzenia, jak i ze względu na mnie.

Edward Bond zrobił dla was wszystko, co potrafił. Teraz kolej na Ganelona. Któż inny mógłby powiedzieć wam o słabościach Llyra, o tym, gdzie Matholch trzyma swą tajemną broń, albo o tym, jak pokonać Edeyrn. Ja to wszystko wiem, a raczej wiedziałem. Musisz pomóc mi odzyskać pamięć, Freydis. A wtedy... - Roześmiałem się dziko.

Freydis skinęła głową. Przez chwilę siedziała w milczeniu.

- Czego ode mnie oczekujesz, Ganelonie? - spytała wreszcie.

- Opowiedz mi najpierw o przerzucaniu mostów między światami - poprosilem ochoczo. - W jaki sposób wymieniłaś Edwarda Bonda na mnie?

- Wolnego. - Freydis uśmiechnęła się ponuro. - Ja również mam swoje tajemnice. Odpowiem ci tylko częściowo na twoje pytanie. Jak się zapewne domyślasz, przeprowadziliśmy zamianę wyłącznie po to, żeby się ciebie pozbyć. Pamiętasz przecież, z jaką zawziętością nękałeś nas swoimi obławami w celu zdobycia niewolników, nienawistny wobec naszej wolności. Jesteśmy dumnym ludem, Ganelonie, i nie damy się bez końca ciemnić. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie ma innego sposobu zglądzenia ciebie jak ten, do którego nie mogliśmy się uciec.

Wiedziałaś o istnieniu bliźniaczego świata - Ziemi. Szukałam dotąd, aż odnalazłam Edwarda Bonda. Po wielu próbach i licznych staraniach dokonałam pewnej zamiany, w wyniku której przeniesiony zostałeś do innego świata razem z pamięcią Edwarda Bonda, wymazującą twoją własną pamięć.

W ten sposób pozbyliśmy się ciebie. To prawda, że mieliśmy u siebie Edwarda Bonda, którego również nie darzyliśmy zaufaniem. Zbyt przypominał ciebie. Jego mogliśmy jednak zabić, jeżeli byśmy musieli, ale nie zrobiliśmy tego. To mocny człowiek. Zaczęliśmy mu ufać i polegać na nim. Dostarczył nam nowych sposobów prowadzenia wojny. Był dobrym przywódcą. To on zaplanował atak na Zgromadzenie, by przeszkodzić w składaniu nowych ofiar.

- Atak, który się nie powiódł - dodałem. - Albo raczej skończyłby się fiaskiem, gdybym sobą nie przeważał szali. Tak, Edward Bond miał wiedzę pochodzącą z Ziemi, ale stosowane przez niego metody walki i obrony mogłyby doprowadzić zaledwie do przerwania tylko zewnętrznych obwarowań Zgromadzenia. Wiesz, że istnieją takie moce, których używa się wprawdzie rzadko, ale są one niezawodne.

- Wiem - powiedziała Freydis. - Wiem o tym, Ganelonie. Jednakże musieliśmy przynajmniej spróbować. Zgromadzenie zostało osłabione po stracie ciebie. Bez ciebie nikt, z wyjątkiem może Ghasta Rhymiego, nie odważyłby się przywołać Llyra. - Sędziwa kobieta uporczywie wpatrywała się w ogień. - Znam ciebie, Ganelonie. Znam tę ambicję, która rozpala twoją krew. Wiem również i to, że zemsta byłaby teraz najdroższą twemu sercu. Przecież zostałeś już kiedyś naznaczony przez Llyra, a w Zgromadzeniu jesteś od urodzenia. Skąd mam mieć pewność, że można ci ufać?

Nie odpowiedziałem. Po chwili Freydis odwróciła się do o-smalanej dymem ściany. Jednym

szarpnięciem odsunęła zasłonę, której przedtem nie zauważyłem. Wewnątrz, w niszy umieszczony był Symbol, pradawny Znak, starszy niż cywilizacja, starszy niż mowa ludzka.

Freydis jest chyba jedną z nielicznych osób, które wiedzą, co oznacza ten Symbol. Podobnie jak ja, który również rozumiałem jego znaczenie.

- A teraz przysięgnij, że będziesz mówił prawdę - zażądała.

Podniosłem rękę w rytualnym geście zobowiązującym mnie nieodwołalnie. Złożyłem przysięgę, której nie wolno mi było złamać, ponieważ zostałbym skazany na podwójne wieczne potępienie - w tym świecie i w przyszłym.

- Zniszczę Zgromadzenie - oświadczyłem bez cienia wahania. Mówiłem prawdę.

- A Llyra?

- Skończę również z Llyrem.

Kiedy wypowiadałem te słowa, pot oblewał mi czoło. Nie przyszło mi to łatwo.

Freydis zdecydowanym ruchem zasunęła zasłonę. Wyglądała na zadowoloną.

- Teraz mam mniej wątpliwości - powiedziała. - No cóż, Ganelonie, Norny przędą dziwne nici, chcąc spleść wątek przeznaczenia. Pomimo to układa się pewien wzór, chociaż nie zawsze daje się go dostrzec. Nie prosiłam cię, żebyś ślubował wierność leśnemu ludowi.

- Mam tego świadomość.

- Nie powinieneś składać takiej przysięgi - powiedziała. - Nie jest to zresztą konieczne. Kiedy już Zgromadzenie zostanie pokonane, kiedy nadejdzie koniec Llyra, będę mogła osłaniać leśnych ludzi nawet przed tobą, Ganelonie. Wtedy spotkamy się, być może, w walce. Jednak zanim to nastąpi, pozostaniemy sprzymierzeńcami. Dla mnie będziesz Edwardem Bondem.

- Potrzeba mi czegoś więcej, jeżeli ta cała maskarada ma przebiegać bez zakłóceń - odparłem.

- Nikt nie poda w wątpliwość danego przeze mnie słowa - powiedziała Freydis. Na jej potężnie zbudowanym ciele i spokojnej, wiecznie młodej twarzy migotało światło ognia.

- Nie zdołam pokonać Zgromadzenia, zanim całkiem nie odzyskam pamięci - pamięci Ganelona.

- No cóż - powiedziała powoli Freydis, potrząsając głową. - W tej sprawie nie uda mi się zdziałać zbyt wiele. Może trochę. Zapisywanie w pamięci - to delikatne zadanie. Nielatwo jest przywrócić raz zatarte wspomnienia. Nadal masz pamięć Edwarda Bonda?

Skinąłem głową potakująco.

- Swojej pamięci nie mam. To tylko wrywkowe wspomnienia. Wiem na przykład, że zostałem naznaczony przez Llyra, ale nie przypominam sobie szczegółów.

- Być może lepiej byłoby wymazać tamto wspomnienie - stwierdziła Freydis posępnie. - Masz rację, że tępe narzędzie jest bezużyteczne. Dlatego posłuchaj.

Stała teraz naprzeciwko mnie z drugiej strony ognia nieruchoma jak głaz, wielka jak skała. Zniżyła głos.

- Wysłałam ciebie na Ziemię, a tutaj sprowadziłam twojego sobowtóra - Edwarda Bonda. Pomógł nam, a Arles... ona pokochała go po jakimś czasie. Nawet Lorryn, który prawie nikomu nie ufa, zaczął darzyć Edwarda Bonda zaufaniem.

- Kim jest Lorryn?

- Teraz to jeden z nas, ale nie od zawsze. Wiele lat temu mieszkał w lesie w swoim szalasie, chodził na polowania. Niewielu dorównywało mu zręcznością w tropieniu zwierzyny. Miał bardzo młodą żonę, która umarła. Pewnej nocy Lorryn wrócił do szalasu, zastając tam śmierć, krew i wilka z zakrwawionym pyskiem, który na niego warczał. Lorryn stoczył z nim walkę, ale go nie zabił. Widziałeś ten policzek - całe ciało ma takie, poznaczone bliznami i poranione od wilczych klów.

- Od wilczych klów? - spytałem. - A nie od...

- Od klów wilkołaka - sprostowała Freydis. - Opętanego wilczym oblędem, przemieniającego się Matholcha. Kiedyś Lorryn go zabije. Ma ten jedyny cel w życiu.

- Niech dostanie tę krwiożerczą bestię - powiedziałem z pogardą. - Jeżeli chce, dostanie Matholcha odartego ze skóry.

- Arles, Lorryn i Edward Bond ułożyli plan - powiedziała Freydis. - Poprzysięgli sobie, że w Krainie Mroku nie zostanie już odprawiony żaden Sabat. Edward Bond pokazał im nowy rodzaj broni, który pamiętał jeszcze z Ziemi. Ta broń została zrobiona i znajduje się w arsenale, gotowa do użycia. Od czasu, kiedy Medea udała się wraz ze swoją świtą na Ziemię na poszukiwania, nie odbył się ani jeden Sabat. Leśny lud zachowywał spokój. Nie było kogo atakować, chyba że starego Ghasta Rhymiego. Teraz Medea i reszta Zgromadzenia są już z powrotem, gotowi. Jeżeli poprowadzisz przeciwko nim Ganelona, Zgromadzenie może zostać rozgromione.

- Zgromadzenie dysponuje swoją własną bronią - powiedziałem półgłosem. - Pamięć mnie zawodzi, ale wydaje mi się, że Edeyrn posiada taką moc, która... która... - Potrząsnąłem głową. - Nie, już nic nie pamiętam.

- Jak można zgładzić Llyra? - spytała Freydis.

- Może... może kiedyś wiedziałam, ale nie teraz.

- Spójrz na mnie. - Mówiąc to, Freydis pochyliła się do przodu w taki sposób, że miało się wrażenie, iż jej wiecznie młoda twarz zanurza się w ogniu.

Spotkaliśmy się wzrokiem poprzez płomienie. Jakaś pradawna moc rozpałała jej bystre, błękitne oczy. Przypominały zimne lustra wody pod pogodnym niebem - głębokie i nieruchome, w których lazurowej ciszy można by się pogrążyć na zawsze.

Zauważyłem, że błękitne wody zmały się nagle i pociemniały. Na tle mrocznego nieba zobaczyłem ogromne czarne sklepienie. Ukazało mi się to, co mieszka na samym dnie pamięci

Ganelona i zakorzenie jest najmocniej - Caer Llyr.

Sklepienie jakby przy płynęło bliżej i zamajaczyło nade mną. Jego ściany rozplywały się jak mętna woda. Cofnąłem się pamięcią w głąb wielkiego, lśniącego gładkością korytarza, który prowadzi do samego Llyra.

Rozdział 9

Królestwo Nadświadomości

Posuwałem się coraz dalej. Przede mną błysnął śmiejący się dziko Matholch, Edeyrn z zakapturzoną głową, patrząca lodowatym wzrokiem i niesamowicie piękna Medea, której urody żaden mężczyzna nie potrafiłby zapomnieć nawet w nienawiści. Wszyscy patrzyli na mnie nieufnie. Bezgłośnie poruszali wargami, jak gdyby chcieli o coś zapytać. To niezwykle, ale wiedziałem, że oglądane przeze mnie twarze istnieją naprawdę.

Znajdując się w mocy zaklęcia Freydis, dałem się nieść poprzez jakąś bezwymiarną przestrzeń, w którą zapędzić się może tylko duch. Odnajdywałem tam dociekliwe myśli Zgromadzenia, widziałem oczy ich dusz. Znali mnie. Bezustannie zadawali mi jakieś pytanie, którego nie byłem w stanie usłyszeć.

Zwrócone w moją stronę duchowe oblicze Matholcha zdradzało śmierć. Cała jego nienawiść do mnie kipiała wściekle w żółtych wilczych oczach. Poruszał wargami w taki sposób, że niemal go słyszałem. Następny przyplął do mnie zarys postaci Medei, wymazując obraz wilkołaka.

- Gdzie jesteś, Ganelonie? Ganelonie, mój kochany, gdzie jesteś? - Purpurowe usta raz po raz powtarzały pytanie. - Musisz do nas wrócić, Ganelonie!

Pomiędzy Medeę i mnie wsunęła się teraz głowa Edeyrn z twarzą niewidoczną.

- Musisz do nas wrócić, Ganelonie. Wrócić i umrzeć. - Gdzieś z bardzo daleka usłyszałem jej oziębły, cienki głosik, powtarzający to wołanie jak echo.

Tamte twarze oddzielała ode mnie purpurowa zasłona gniewu.

Zdrajcy, oszuści, łamiący przysięgę daną Zgromadzeniu. Jak śmiać grozić Ganelonowi, najpotężniejszemu z nich wszystkich! Jak się odważyli i dlaczego?

Dlaczego?

Mózg wirował mi od pytań. Nagle zdałem sobie sprawę, że jednej twarzy spośród Zgromadzenia brakowało. Tamte trzy penetrowały poziomy świadomości w poszukiwaniu mnie, a gdzież był Ghast Rhymi?

Z premedytacją szukałem po omacku kontaktu z jego świadomością.

Nie mogłem go dosięgnąć, ale zdołałem sobie przypomnieć. Przypomniałem sobie Ghasta

Rhymiego, chociaż Edward Bond nigdy nie widział jego twarzy. To ten stary, najstarszy, ponad dobrem i złem, ponad strachem i nienawiścią. Taki właśnie był Ghast Rhymi, najpotężniejszy czarnoksiężnik w całym Zgromadzeniu. Jeżeliby tylko zechciał, odpowiedziałby na moje zbląkane myśli. Jeżeli nie miałby ochoty, nic by go do tego nie zmusiło. Najstarszemu nie można było zaszkodzić, ponieważ żył wyłącznie dzięki sile własnej woli.

W jednej chwili mógłby ze sobą skończyć, używając mocy swych myśli. Był jak płomień świecy, który gaśnie, kiedy ktoś się na niego zamierzy. Życie nic już dla niego nie było warte, dlatego nie trzymał się go kurczowo. Jednak gdybym próbował go zaatakować, wymknąłby mi się jak nie dający się uchwycić ogień czy woda. Równie szybko mógłby stać się martwy co żywy. Jednak dopóki nie będzie musiał, nie zakłóci swego bezgranicznego spokoju myślą, która miałaby go zamienić w umarłego.

Zarówno duch, jak i wizerunek Twarzy Ghasta Rhymiego pozostawały przede mną ukryte. On nie reagował. Reszta Zgromadzenia wciąż mnie wzywała z jakąś przedziwną desperacją w duszach. Nawoływali "wróć i zgiń. Lordzie Ganelonie!" Ghast Rhymi nie zwracał jednak na nich uwagi.

Wiedziałem już, że to z jego rozkazu wydano wyrok śmierci. Uświadomiłem sobie również i to, że muszę go odszukać i w jakiś sposób wydobyć z niego odpowiedź. Tylko jak przekonać Ghasta Rhymiego, na którego nie działa żadna siła? Pomimo wszystko musiałem go do tego zmusić.

Tymczasem moja świadomość bezwiednie dryfowała ogromnym korytarzem do Caer Llyr, niesiona falą przepływającą po samym dnie pamięci Ganelona, Wybrańcy Llyra. Ganelona, który musi kiedyś wrócić do Tego, Którego czeka... tak jak wracałem właśnie teraz.

Przede mną rozbłysło Złote Okno. Wiedziałem, że przez to samo Okno potężny Llyr wygląda na swój świat i wyciąga ręce po swoje ofiary. Llyr był chciwy. Czulem jego zachłanność. On również błądził po poziomach świadomości. W chwili, kiedy ponownie zdałem sobie sprawę, dokąd dryfuje moja świadomość, poczułem nagle wyciągnięcie jakby potężnej ręki wystawionej przez Złote Okno, szukającej po omacku.

Llyr wyczuwał moją obecność na poziomach swojej świadomości. Rozpoznał swego Wybrańca. Wyciągnął boską rękę, by pochwycić mnie w uścisku, z którego nie ma odwrotu.

Usłyszałem bezgłośny krzyk Medei, wyzwalający się z poziomu świadomości jak obłok dymu, w chwili gdy szkarłatna czarodziejka, broniąc się w panicznym strachu, wytworzyła w swojej jaźni pustkę. Dobiegł do mnie również niemy ryk potwornie przerażonego Matholcha w momencie, kiedy unicestwiał swoją świadomość. Nie było słyhać żadnego odgłosu, który pochodziłby od Edeyrn. Zniknęła bez śladu, jak gdyby nigdy nie miała świadomości. Wiedziałem, że cała trójka siedziała teraz gdzieś w Zamku, ze szczelnie pozamykanymi oczyma i jaźniami, trwając w tej pustce, podczas gdy Llyr wędrował po bezdrożach świadomości w poszukiwaniu pokarmu, którego tak długo mu odmawiano.

Część mojej istoty podzielała przerażenie Zgromadzenia, część pamiętała Llyra. Powróciło na chwilę tamto przerażające uniesienie, kiedy Llyr i ja stanowiliśmy jedność.

Wróciło wspomnienie grozy i niesamowitej radości. Przywołana została pamięć tamtej mocy przewyższającej wszystko, co ziemskie.

Było to w moim zasięgu, jeżeli tylko otworzyłbym świadomość dla Llyra. Spośród wszystkich Llyr naznacza tylko jednego człowieka, który dzieli z nim jego boskość, radując się z nim w ekstazie ofiary składanej z istoty ludzkiej. To właśnie ja byłbym tym Wybrańcem, gdybym się zdecydował dopełnić rytuału, dzięki któremu stałbym się własnością Llyra. Jeżeli tylko bym chciał, jeżeli bym się odważył.

Powrócił dawny gniew. Nie powinienem popadać w stan radości obiecaną. Przysięgałem przecież zgładzić Llyra. Złożyłem przysięgę na pradawny Znak, ślubując, że zniszczę Zgromadzenie i Llyra. Powoli i opornie wycofywała się moja świadomość przed zbliżającym się dotknięciem macek.

W chwili, kiedy przerwana została próba nawiązania kontaktu z Llyrem, przez całe moje ciało przelała się fala grozy. Przecież prawie już go dotknąłem. Prawie dałem się pokalać straszliwym dotknięciem tego, który... To przekracza wszelkie możliwości pojmowania ludzkiego. W żadnym języku nie ma takiego słowa, którym można by określić, czym jest Llyr. Jako Edward Bond zrozumiałem, co działo się w mojej świadomości, kiedy zdałem sobie sprawę, że zamieszkiwanie na tej samej ziemi co Llyr, dzielenie z nim wspólnej egzystencji stanowiło tak wielkie pohańbienie, że ziemia i życie na niej stawały się zbyt potworne, aby przy nich trwać, jeżeli oczywiście znalazł się Llyra.

Muszę z nim skończyć. Wiedziałem już, że muszę stawić mu czoło, zmierzyć się z istotą zwaną Llyrem i walczyć z nią aż do końca. Żaden człowiek jeszcze nigdy tak naprawdę mu się nie sprzeciwił, nawet jego ofiary, nawet Wybrańcy. Zabójca Llyra będzie musiał stanąć z nim twarzą w twarz, a ja przysięgałem zadać mu śmierć.

Z dreszczem zgrozy cofałem się z czarnej otchłani Caer Llyr, z trudem wydostając się na powierzchnię spokojnych, błękitnych luster świadomości, jakimi były oczy Freydis. Otaczająca mnie ciemność powoli zniknęła i stopniowo powracał widok ścian groty, niczym nie podsycanego ognia, olbrzymiej czarownicy o gładkim ciele. Czarownicy, która przetrzymywała moją świadomość unieruchomioną w zaczarowanej otchłani.

W miarę jak powoli, bardzo powoli wracałem do przytomności, świadoma pamięć wdzierła się we mnie lotem błyskawicy. Działo się to wszystko zbyt szybko, by mogło przybrać kształt słów.

Już wiedziałem, przypomniałem sobie.

Życie Ganelona powracało obrazami, które przesuwają się jak żywe, wyrzeźbione w moim mózgu na zawsze. Poznałem jego moce, jego tajemne siły, ukryte słabości. Poznałem jego grzechy. Przepelniała mnie radością jego moc i duma. Wróciłem do własnej tożsamości, znów stając się w pełni Ganelonem, albo prawie w pełni.

Jednak istniały jeszcze sprawy okryte tajemnicą. Zbyt wiele wymazano z mojej pamięci, by mogło teraz powrócić jedną falą jak przyływ. Zaczynałem sobie przypominać, czego dotyczą te wszystkie przerwy i poważne luki.

Błękitny mrok rozwiął się. Poprzez ogień zaglądałem w patrzące wyraziście oczy Freydis. Uśmiechnąłem się, czując, jak wzbiera we mnie wyrachowana, arogancka pewność siebie.

- Dobrze ci poszło, czarownico - powiedziałem.

- Przypomniałeś sobie?

- Owszem, wystarczająco. - Roześmiałem się. - Czekają mnie dwie ciężkie próby, z których pierwsza jest łatwiejsza, chociaż niewykonalna. Pomimo to osiągnę cel.

- Ghast Rhymi? - spytała cicho.

- Skąd to wiesz?

- Znam przecież Zgromadzenie i wydaje mi się, chociaż nie jestem tego pewna, że zarówno jego tajemnica, jak i sekret Llyra spoczywają w rękach Ghasta Rhymiego. Jednak nie ma takiego człowieka, który byłby w stanie zmusić starca, by słuchał jego rozkazów.

- Znajdę sposób. Powiem ci nawet, jakie będzie moje następne zadanie. Poznasz prawdę, czarownico. Tę której sam niedawno się dowiedziałem. Czy wiesz coś na temat Maski i Różdżki?

Freydis, z utkwionym we mnie wzrokiem potrząsnęła przecząco głową.

- Powiedz mi, może potrafiłabym coś zaradzić - poprosiła.

Znów się roześmiałem. To było wprost fantastyczne, nieprawdopodobne, że ona i ja, śmiertelni wrogowie z przeciwstawnych plemion, znaleźliśmy się tutaj, aby układać jeden plan. Niewiele przed nią ukrywałem, odnosząc wrażenie, że ona również niewiele przede mną zataja.

- W pałacu Medei znajdują się kryształowa Maska i srebrna Różdżka Władzy - powiedziałem. - Nie bardzo pamiętam, jak ta Różdżka wygląda, ale kiedy ją odnajdę i dotknę, będę wiedział. Za pomocą tej magicznej pałeczki będę w stanie pokonać Medeę, Matholcha i wszystkie ich moce. Jeżeli chodzi o Edeyrn, wiem tylko tyle, że Maska ocali mnie przed nią.

Zawahałem się.

Medeę znałem teraz dobrze. Wiedziałem o niezwykłych żądzach, przedziwnych pragnieniach, które wiodły piękną szkarłatno-białą czarodziejkę do wyznaczonych przez nią tajemnych miejsc. Wiedziałem, dlaczego biorąc do niewoli razila pojmanyh ognistymi strzałami, które wcale nie zabijały, tylko oszalałmiały. Drżałem na samą myśl o tym.

W moim świecie w Krainie Mroku mutacje doprowadziły do niezwykłych zmian w ciele będącym pierwotnie ciałem ludzkim. Medea stanowiła jeden z najbardziej osobliwych przypadków. W językach używanych na Ziemi nie ma na to odpowiedniego słowa, ponieważ po Ziemi nigdy nie stąpała taka istota jak Medea. Znani są tam osobnicy trochę do niej podobni, którzy żyją być może w rzeczywistości, a na pewno istnieją w legendach. Określa się ich mianem wampirów.

Niczego nie mogłem sobie przypomnieć na temat Edeyrn. Możliwe, że nawet sam Ganelon nic o niej nie wiedział. Jediną rzeczą wiadomą było dla mnie to, że w sytuacji krytycznej

Edeyrn odsłoni twarz.

- Freydis... - Znów się zawahałem. - Kim jest Edeyrn?

Czarownica potrząsnęła potężną głową, a jej siwe warkocze poruszyły się na plecach.

- Nigdy tego nie wiedziałam. Od czasu do czasu sondowałam tylko jej świadomość wtedy, kiedy spotkałyśmy się na tym samym poziomie, tak jak ty zetknąłeś się z nią dzisiaj. Chociaż mam w sobie potężną moc, Ganelonie, zawsze cofałam się przed lodowatym chłodem bijącym spod kaptura Edeyrn. Nie, nie potrafię powiedzieć, kim ona jest.

Znów się roześmiałem. Postępowałem przecież lekkomyślnie.

- Zapomnij o Edeyrn - powiedziałem. - Kiedy zmuszę Ghasta Rhymiego do słuchania moich rozkazów, kiedy stanę twarzą w twarz z Llyrem, posługując się bronią, która go uśmierci, dlaczego miałbym obawiać się Edeyrn? Kryształowa Maską to talizman chroniący mnie przed karlicą. To wiem na pewno. Niech sobie będzie jakim tylko chce potworem, Ganelon się jej nie boi.

- Czyżby istniała również broń przeciwko Llyrowi?

- Jest miecz - odpowiedziałem. - Miecz, który... który niezupełnie przypomina broń, o jakiej myślimy. Pamiętam to jak przez mgłę, chociaż wiem, że Ghast Rhymi mógłby wskazać miejsce, gdzie przechowywany jest miecz - broń nie będąca bronią. Miecz Zwany Llyrem.

Kiedy wypowiadałem te słowa, wydawało mi się przez chwilę, że płomień oddzielający mnie od Freydis nagle zamigotał, jak gdyby przez jego jasne światło przeszedł jakiś cień. Nie powinienem wymawiać na głos imienia Llyra. Rozbrzmiewało ono teraz jak echo w królestwie świadomości, a w Caer Llyr, za Złotym Oknem, On sam prawdopodobnie poruszył się i wyjrzał.

Nawet tutaj czuło się przytłumione, przepelnione żądzą drzenie pochodzące z odległego czarnego sklepienia. Nagle zdałem sobie sprawę z tego, co zrobiłem. Zbudziłem Llyra!

Patrzyłem na Freydis szeroko otwartymi oczami, napotykając błękitne spojrzenie jej równie zdumionych oczu. Ona także musiała odczuć tamto drzenie, które w bezkształtnej formie przeszło na wskroś całą Krainę Mroku. Wiedziałem, że w Zamku doznało go również Zgromadzenie. Może przyglądali się sobie nawzajem z takim samym nagłym przerażeniem, jakie ogarnęło Freydis i mnie.

Llyr się ocknął!

To ja go zbudziłem. Podryfowałem na fali świadomości przez lśniący korytarz, aż zatrzymałem się w myślach przed tamtym Oknem jako Wybraniec Llyra, twarzą w twarz z prawdziwym Oknem Llyra. Nic dziwnego, że wreszcie przebudził się na dobre.

Cała moja jaźń kipiała szaloną radością.

- Teraz się zacnie - powiedziałem do Freydis uszczęśliwiony. - Udało ci się działać więcej, niż przypuszczałaś - uwolniłaś moją świadomość, by mogła wędrować dawnym szlakiem. Llyr ożywa i staje się bardzo spragniony. Zgromadzenie nigdy przedtem nie odważyło się zezwolić mu na taką zachłanność. Od niepamiętnych czasów nie odbył się przecież żaden Sabat,

a Llyr laknie ofiary. Czy twoi szpiedzy obserwują teraz Zamek, wróżbitko?

Freydis skinęła głową.

- To dobrze. Wobec tego dowiemy się, kiedy zbiorą niewolników na uroczystość Sabatu. Nastąpi to wkrótce. Musi nastąpić! Wtedy Edward Bond poprowadzi szturm na Zamek. Zgromadzenie będzie w tym czasie na Sabacie w Caer Secaire. Przyjdzie pora na Maskę i na Różdżkę, sędziwa kobieto -- mój niżony głos brzmiał jak hymn triumfalny. - Maska i Różdżka w rękach Ganelona, a w Zamku Ghast Rhymi, zupełnie sam, będzie musiał mnie wysłuchać. Norny są po naszej stronie, Freydis!

Czarownica przyglądała mi się długo w milczeniu.

Po chwili wkradł się na jej twarz ponury grymas. Pochylona, wyciągnęła przed siebie obnażoną rękę, zbliżając dłoń nad niczym nie podsycany płomień. Ogień pelzał wokół jej palców. Ostrożnie, nawet nie drgnąwszy, zdławiła go w dłoni.

Ogień zamigotał i zgasł. Stożące na podwyższeniu kryształowe naczynie opustoszało. Pograżyliśmy się w mroku. Freydis wyglądała w tym półcieniu jak olbrzymi marmurowy posąg.

- Norny są z nami, Ganelonie - usłyszałem jej niski głos, brzmiący jak echo. - Zważ, że walczysz również i po naszej stronie, o ile dochowasz przysięgi. W przeciwnym razie będziesz musiał odpowiedzieć przed bogami i przede mną. I na bogów - zaśmiała się złowrogo - na bogów, jeżeli mnie zdradzisz, przysięgam, że cię zgładzę używając tej oto mocy.

Dostrzegłem w mroku, jak unosi w górę potężne ramiona. Kiedy ogromna wiedźma spojrzała mi w oczy, byłem absolutnie pewien, że gdyby zaistniała potrzeba, pokonałaby mnie w jednym starciu. Dorównywała mi magiczną mocą i siłą mięśni. Pochyliłem głowę.

- Niech się stanie, czarownico - powiedziałem. Uścisnęliśmy sobie dłonie w ciemności. Już prawie byłem przekonany, że nie będę miał potrzeby jej zdradzić.

Szliśmy obok siebie korytarzem do wylotu jaskini.

Ustawieni w półkole leśni ludzie wciąż na nas czekali. Arles i poznaczony bliznami Lorryn stali wysunięci do przodu. Kiedy się wyłoniliśmy, podnieśli energicznie głowy. Drżąc na całym ciele przystanąłem w chwili, gdy zgrubiałe dłonie przesuwaly się ukradkiem w stronę rękojęści i cięciw. Ujarzmiany, zapierający dech paniczny strach wionął na ustawiony półkolem leśny lud.

Stałem w miejscu, rozkoszując się ich przerażeniem. Świadomy, że jestem Ganelonem, czułem w sobie żądzę nieuchronnej zemsty, która w swoim czasie wymierzy im wszystkim surową sprawiedliwość. W odpowiednim dla mnie czasie.

Najpierw potrzebowalem jednak ich pomocy.

Tuż przy mnie rozległ się niski głos Freydis i zagrzmiął na całą polanę.

- Przyjrzałam się temu człowiekowi - powiedziała. - To Edward Bond.

Nieufność leśnego ludu została zażegnana. Słowa Freydis stanowiły dostateczną rękojmię.

Rozdział 10

Oręż przeciwko Zgromadzeniu

Soki przepływające przez korzenie Ygdrasilu ożywiły drzewo z sennej obojętności i nie będące istotami ludzkimi strażniczki Drzewa Przeznaczenia przebudziły się, aby mi służyć. To Norny - trzy prządki losu, do których się modliłem.

Urdur rządzi przeszłością.

Szeptala teraz o tamtych ze Zgromadzenia, o ich mocach i ułomnościach. O Matholchu - wilkołaku, którego największy słaby punkt stanowiły szaleńcze furie, o szczelinie w jego zbroi, przez którą mógłbym zadać cios, kiedy atak szału zagłuszy jego przebiegłą czujność. O szkarłatnej czarodziejce, o Edeyrn, o sędziwym Ghaście Rhymim. O moich przeciwnikach. Wrogach, których mógłbym zgładzić za pomocą pewnych talizmanów, o których właśnie sobie przypominałem. Szeptala o wrogach, których muszę zniszczyć.

Werdandi rządzi terażniejszością.

Edward Bond zrobił wszystko, co było można. W jaskiniach Buntownicy pokazali mi używaną przez siebie broń - prymitywne karabiny i granaty, bomby gazowe, a nawet kilka prowizorycznych miotaczy ognia. Przydałyby się przeciwko niewolnikom Zgromadzenia. Tylko ja jeden wiedziałem, jak bardzo były nieużyteczne przeciwko samemu Zgromadzeniu. Jeszcze tylko Freydis mogła to wiedzieć.

Jednak Arles i Lorryn razem ze swymi lekkomyślnymi popiecznikami gotowi byli użyć tej bardzo dla nich osobliwej ziemskiej broni w desperackim szturmie na Zamek. A ja dałbym im tę szansę, gdy tylko nasi szpiedzy wrócą z wiadomością o przygotowaniach do Sabatu. Wkrótce powinno to nastąpić. Będzie musiało się stać. Za Złotym Oknem otwierającym drogę do światów ludzkości przebudził się Llyr - wygłodniały i spragniony.

Skuld rządzi przyszłością.

Najbardziej modliłem się właśnie do Skuld. Sądziłem, że Zgromadzenie dojedzie do Caer Secaire jeszcze przed świtem. Do tego czasu chciałbym postawić Buntowników w stan gotowości.

Edward Bond dobrze ich wyszkolił. Zaprowadził prawdziwie wojskowy rygor. Wszyscy leśni ludzie byli dokładnie obeznani ze sprzętem i świetnie poznali las. Arles, Lorryn i ja przedstawiliśmy swój plan, chociaż osobiście nie ujawniłem im wszystkiego, co zamierzam. Buntownicy grupkami wymykali się teraz do lasu, podążając w kierunku Zamku.

Nie rozpoczną ataku. Nie ujawnią się, dopóki nie będzie im dany odpowiedni znak. Ukryci tymczasem w rowach i zagajnikach wokół Zamku poprzestaną na czekaniu. Będą w gotowości. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, podjadą do głównej bramy. Tam przyjdą im z pomocą granaty.

To wcale nie szaleństwo walczyć z magią za pomocą granatów i karabinów. W miarę jak stopniowo wracała mi pamięć, coraz bardziej sobie uświadamiałem, że Krainą Mroku nie rządzą wyłącznie prawa czystej magii. Dla umysłu ziemskiego takie istoty jak Matholch czy Medea wydawały się nadprzyrodzone. Ja wyposażony byłem w podwójną świadomość i jako Ganelon mogłem wykorzystywać pamięć Edwarda Bonda jak robotnik, który posługuje się narzędziami.

Nie zapomniałem niczego, co kiedyś wiedziałem na temat Ziemi. Stosując w odniesieniu do Krainy Mroku zasady logiki, rozumiałem zjawiska, które przedtem uznawałem za oczywiste.

Klucz stanowiły mutacje. W umyśle ludzkim istnieją niezgłębione od wieków otchłanie kryjące potencjalne możliwości w postaci utraconych, atroficznych zmysłów, jak na przykład stanowiąca pradawne trzecie oko szyszynka. Ciało ludzkie to przecież najbardziej wyspecjalizowany organizm ze wszystkich istot żywych.

Każdy drapieżnik uzbrojony jest w kły i szpony. Człowiek ma do dyspozycji tylko mózg. W miarę jak zwierzęta mięsożerne hodowały coraz dłuższe i coraz bardziej zabójcze szpony, u człowieka podobnie rozwijał się mózg. W świecie ziemskim także żyją media, jasnowidzowie, specjaliści od wróżbiarstwa, eksperci od postrzegania pozazmysłowego. W Krainie Mroku mutacje rozwinęły się w sposób wynaturzony, doprowadzając do powstania kosmicznych porońców, które jeszcze przez milion lat mogą się do niczego nie przydać.

Tego rodzaju umysły, dysponujące nowymi możliwościami, będą musiały wytworzyć narzędzia do wykorzystywania własnych mocy. Magiczne różdżki. Chociaż nie znam się na technice, jestem w stanie zrozumieć zasadę ich działania. Nauka dąży do coraz prostszych mechanizmów; klistron i magnetron to nic innego jak metalowe pręty, które w odpowiednich warunkach, zaopatrzone w energię i ukierunkowane, stają się potężnymi urządzeniami.

Magiczne różdżki czerpały potężną energię elektromagnetyczną z planety, będącej zresztą zwyczajnym magnezem o gigantycznych rozmiarach. Jeżeli chodzi o impuls nadający kierunek, wyszkolone mózgi z łatwością mogły go dostarczyć.

Nie wiedziałem, czy Matholch rzeczywiście przybierał postać wilka, chociaż nie sądziłem, żeby tak było. Część odpowiedzi stanowi tutaj hipnoza. Rozzłoszczony kot będzie puszył swoje futro, podwajając jak gdyby rozmiary. Kobra zahipnotyzuje swoją ofiarę. Tylko w jakim celu? Po to, żeby przełamać obronę przeciwnika, rozbroić go, osłabić tak istotne w walce samozaparcie. Być może Matholch wcale nie przeobrażał się w wilka, a tylko myśleli tak ci, którzy znaleźli się pod wpływem jego hipnozy działającej jak zaklęcie. W rezultacie jedno i drugie prowadzi do tego samego celu.

A co z Medeą? Można tu przeprowadzić porównanie. Są takie choroby, które wymagają okresowych transfuzji krwi. Nie oznacza to, że Medea piła krew. Jej pragnienia były inne. Życiowa energia nerwowa jest czymś równie konkretnym jak leukocyt. Chociaż Medea była czarodziejką, wcale nie musiała zaspokajać swoich potrzeb za pomocą magii.

Co do Edeyrn, to nie miałem pewności. Jakieś zabląkane wspomnienia snuły mi się w pamięci jak mgła. Kiedyś wiedziałem, kim była i jaką zabójczą moc skrywała czerń jej kaptura. W tym również nie było żadnej magii. Wiedziałem tylko, że Kryształowa Maską ochroniłaby

mnie przed Edeyrn.

Nawet Llyr, nawet sam Llyr też nie był bogiem. Dobrze o tym wiedziałem. Kim był naprawdę, nie potrafiłem, jak dotąd, nawet się domyślać. Zamierzałem to wreszcie odkryć. Pomoże mi Miecz Zwany Llyrem nie mający nic wspólnego z normalną bronią.

Na razie miałem inną rolę do odegrania. Chociaż Freydis za mnie poręczyła, nie mogłem sobie pozwolić na wzbudzenie podejrzeń wśród Buntowników. Wyjaśniłem, że środek podany przez Medeę wywołał u mnie osłabienie i dreszcze. Pomoże to tłumaczyć drobne potknięcia, które mogą mi się przytrafić. Dziwne, że Lorryn wskutek danego przez Freydis słowa zdawał się w pełni mnie akceptować. Natomiast w zachowaniu Arles wyczuwałem nieznaczną, prawie że nieuchwytną rezerwę. Nie sądzę, żeby domyślała się prawdy. Jeżeli tak było, starała się nie dopuszczać jej nawet w myślach.

Nie mogłem pozwolić sobie na nasilenie się podejrzeń.

W dolinie panowało widoczne ożywienie.

Wiele się wydarzyło od czasu, kiedy przybyłem tutaj o świcie. Miałem za sobą tak duży wysiłek fizyczny i psychiczny, że dla przeciętnego człowieka wystarczyłoby na cały tydzień, ale Ganelon dopiero rozpoczynał swą batalię. Nasz plan ataku został tak sprawnie sporządzony dzięki Edwardowi Bondowi. Byłem nawet zadowolony, że najzupełniej bezosobowe ustalenia z Arles i Lorrynem pochłonęły mnie bez reszty.

Pomogły ukryć wielkie braki wiedzy na temat spraw, które

Edwardowi Bondowi powinny być znane. Wielokrotnie chytrze i podstępnie wydobywałem informacje, wiele razy musiałem na swoje usprawiedliwienie odwoływać się do magicznego lekarstwa i wyczerpania ciężką próbą w Zamku. Kiedy już ułożyliśmy nasz plan, odniosłem wrażenie, że nawet podejrzania Arles zostały częściowo uspijone.

Wiedziałem, że muszę uspić je całkowicie.

Wstaliśmy od ogromnego stołu z mapami, znajdującego się w grocie przeznaczonej do odbywania narad. Wszyscy odczuwali już zmęczenie. Na ściągniętej blizną twarzy Lorryna dostrzegłem uśmiech świadczący o serdeczności wobec człowieka uznanego za przyjaciela na śmierć i życie. Odwzajemniłem mu ten uśmiech, przybierając wyraz twarzy Edwarda Bonda.

- Tym razem się uda - powiedziałem z poczuciem pewności. - Tym razem wygramy.

Uśmiech Lorryna wykrzywił nagle grymas. Jego głęboko osadzone oczy błysnęły jak ogniki.

- Pamiętaj! - warknął. - Matholch jest mój! Spojrzałem na leżącą na stole mapę plastyczną, bardzo wprawnie wykonaną według instrukcji Bonda.

Na ciemnozielonych wzgórzach falowały dziwne lasy z jakby żywych drzew, każdy strumyk zaznaczony był białym gipsem, wykreślone zostały wszystkie drogi. Położyłem dłoń na niewielkim pagórku z wieżami, stanowiącym miniaturę Zamku Zgromadzenia. Ciągnął się stamtąd główny szlak, którym jechałem ostatniej nocy u boku Medei, ubrany w błękitną szatę

ofiarną. Była też dolina i pozbawiona okien wieża Caer Secaire, wieża będąca naszym celem.

Przez chwilę znów jechałem tamtym traktem. W ciemności, w blasku gwiazd zobaczyłem obok siebie Medeę w szkarłatnym płaszczu - błądy owal jej twarzy w mroku, ciemnoczerwone usta, oczy błyszczące w moją stronę. Znów poczułem dotknięcie tamtego dzikiego, uległego ciała, które trzymałem ostatniej nocy w ramionach, podobnie jak to miało miejsce wielokrotnie. W myślach zawirowało pytanie.

Medeo, Medeo, szkarłatna czarodziejko z Kolchidy, dlaczego mnie zdradziłaś?

Skruszyłem w dłoni delikatne wieżyczki Zamku, czując jak zamieniają się w proch. Na widok ruin zrobionych przez siebie z makiety Edwarda Bonda roześmiałem się gwałtownie.

- Nie będzie nam już potrzebna - wycedziłem przez zęby.

- Nie potrzeba jej naprawiać. - Lorryn również się zaśmiał. - Jutro zamek Zgromadzenia także zamieni się w gruzy.

Strzepnąłem z ręki sproszkowany gips i spojrzałem przez stół na milczącą Arles. Patrzyła na mnie z powagą, wyczekująco. Uśmiechnąłem się.

- Nie mieliśmy ani chwili dla siebie - powiedziałem czułym głosem. - Będę potrzebował snu, zanim wyruszę dzisiaj w nocy. Jest czas na spacer, jeżeli zechcesz pójść ze mną.

Spojrzała na mnie poważnie swymi zielonymi oczami. Skinęła głową, obeszła stół dookoła i wyciągnęła do mnie rękę. Chwyciłem jej dłoń i zaczęliśmy schodzić po stopniach aż do wylotu jaskini. Potem szliśmy górską doliną, nic do siebie nie mówiąc. Pozwoliłem jej prowadzić. Posuwaliśmy się w milczeniu do górnego krańca doliny. Obok szemrał strumyk.

Arles stąpała bardzo lekko. Za nią falował jasny, mglisty welon włosów utkany jak pajęczyna. Zastanawiałem się, czy celowo opierała drugą rękę na futerale broni, którą miała u boku.

Trudno było mi skupić na niej całą uwagę albo przejmować się, czy ona wie, kim jestem. W głębi doliny, całym swym pięknem i szatańskim urokiem majaczyła mi przed oczyma twarz Medei, twarz, której żaden mężczyzna nigdy nie potrafiłby zapomnieć. Przez chwilę byłem wściekły na samo wspomnienie, że Edward Bond w moim ciele przyjmował ostatniej nocy pocałunki przeznaczone dla Ganelona.

Tak, dzisiaj w nocy znów ją zobaczę, zanim umrze z mojej ręki.

Ujrzałem oczyma duszy tamtą maleńką dróżkę na makiecie, wijącą się w dół z Zaniku Zgromadzenia do świątyni ofiarnej. Wiedziałem, że w którymś momencie nadchodzącej nocy prawdziwą drogą znów przejedzie kawalkada, tak jak jechała ostatnio ze mną. Wzdłuż drogi znów będą się ukrywać leśni ludzie, a ja znów poprowadzę ich przeciwko Zgromadzeniu. Tym razem wynik będzie zupełnie inny, przechodzący wszelkie oczekiwania Buntowników i Zgromadzenia.

Cóż za dziwne nici uprzedły Norny. Poprzedniej nocy byłem Edwardem Bondem, dzisiaj jestem Ganelonem, który poprowadzić ma tych samych ludzi do takiej samej walki przeciwko

temu samemu wrogowi, lecz z zamiarem tak różnym, jak różni się noc od dnia.

Obaj pozostaniemy śmiertelnymi wrogami, chociaż w jakiś przedziwny sposób, na zasadzie rozszczepienia dzielimy ze sobą wspólne ciało. Jesteśmy wrogami, chociaż nigdy się nie spotkaliśmy ani nie mogli ze sobą zetknąć pomimo jedności cielesnej. To zbyt niezwykła zagadka, aby dało się ją rozwiązać.

- Edwardzie - tuż obok odezwał się głos. Miałem przed sobą Arles spoglądającą na mnie tym samym tajemniczym wzrokiem, którym tak często mnie dzisiaj obdarzała. - Edwardzie, czy ona jest bardzo piękna?

- Kto? - wytrzeszczyłem oczy ze zdumienia.

- Czarodziejka. Czarodziejka ze Zgromadzenia. Medea.

Prawie że roześmiałem się w głos. Czyżby to był powód trwającej cały dzień powściągliwości ze strony Arles? Czyżby uważała, że przyczyną mojej dezercji i zmian, jakie we mnie wyczuwała, była czarująca rywalka? W każdym razie powinienem rozproszyć te obawy. Przywołałem Llyra, aby wybaczył mi kłamstwo, i wziąłem Arles w ramiona.

- Ani na tym świecie, ani na Ziemi nie ma drugiej takiej kobiety, która chociaż w części dorównywałaby urodą tobie, kochanie - powiedziałem.

Mimo to Arles patrzyła na mnie z powagą.

- Będę zadowolona dopiero wtedy, kiedy naprawdę będziesz tak uważał, Edwardzie - odparła. - Teraz tak nie myślisz i dobrze o tym wiem. - Kiedy zacząłem zaprzeczać, przyłożyła mi palce do ust. - Nie mówmy już o niej. Jest przecież czarodziejką. Władza mocami, których żadne z nas nie potrafiłoby odeprzeć. To nie moja ani nie twoja wina, że jest zbyt piękna, by dało się o niej w jednej chwili zapomnieć. Zresztą mniejsza o to. Spójrz. Pamiętasz to miejsce?

Wyślizgnęła się zgrabnie z moich objęć, wyciągając rękę w stronę rozciągającej się pod nami panoramy. Staliśmy w niedużym lesie składającym się z wysokich drzew szumiących na szczycie niewielkiego wzniesienia. Liście i gałęzie tworzyły wokół nas altanę z mnóstwa przeplatających się jakby rozkołysanych wici. Miejscami prześwitywał falisty krajobraz płonący w świetle zachodzącego czerwonego słońca.

- To będzie kiedyś nasze - powiedziała cicho Arles. - Kiedy przestanie istnieć Zgromadzenie i kiedy zginie Llyr. Będziemy wtedy mogli żyć na wolności, karczować lasy, budować miasta - żyć znów jak ludzie. Pomyśl nad tym, Edwardzie. Cały świat stanie się wolny od barbarzyństwa. A wszystko dzięki temu, że na początku znalazła się wśród nas garstka tych, którzy nie lękali się Zgromadzenia i odnaleźli ciebie. Jeżeli wygramy, Edwardzie, zwycięstwo w tej walce będzie zasługą twoją i Freydis. Gdyby nie ty, wszyscy bylibyśmy zgubieni.

Nagle Arles odwróciła się. Jej jasnozłote włosy falowały wokół twarzy jak unosząca się mgielką aureola. Uśmiechnęła się do mnie niespodziewanie. Nigdy przedtem nie widziałem jej tak czarownie powabnego oblicza.

Dotychczas na każdy pierwszy krok z mojej strony reagowała zawsze z pełną powagą rezerwą. Teraz zobaczyłem ją taką, jaką widywał ją Edward Bond, i zaskoczony zrozumiałem

w okamgnieniu, że niezależnie od wszystkiego Bond był bardzo szczęśliwym człowiekiem. Aczkolwiek wiedziałem, że szkarłatna, namiętna i piękna Medea do końca nie zniknie z mojej pamięci, Arles miała własny subtelny i zachwycający urok.

Stała bardzo blisko mnie, rozchylając usta w uśmiechu skierowanym wprost w moje oczy. Przez chwilę zazdrościłem Edwardowi Bondowi. Potem przypomniałem sobie, że przecież jestem Edwardem Bondem. Jednak to Ganelon pochylił się nagle i z dziką namiętnością porwał dziewczynę w objęcia, wprawiając ją w osłupienie. Zanim dotknąłem ustami jej ust, czułem na piersi jej pełne zdumienia westchnienie i gest wyrażający protest.

Wkrótce przestała już się opierać.

Była dziwną, dziką i płochliwą małą istotą, którą z dużą przyjemnością trzymało się w ramionach i z rozkoszą całowało. Po reakcji Arles zorientowałem się, że Edward Bond nigdy w taki sposób nie trzymał jej w ramionach. Był wtedy niezdecydowanym głupcem. Jeszcze przed końcem pocałunku wiedziałem, gdzie będę najpierw szukał pocieszenia, kiedy Medea zapłaci mi życiem za swoją zdradę. Nie zapomnę Medei, lecz równie długo będę pamiętał pocałunek Arles.

Dziewczyna przywarła do mnie na chwilę w milczeniu, a jej pajęczce włosy unosiły się wokół nas jak puch. Sponad głowy Arles rozejrzałem się po dolinie, którą ona oczyma duszy widziała zamieszkaną przez wolny leśny lud, usianą miastami. Zdawałem sobie sprawę, że to marzenie nigdy się nie spełni.

Miałem przecież własne pragnienia.

Zobaczyłem teraz leśnych ludzi, jak na tamym oto szczycie wzniesienia budują w mozołe mój potężny zamek, który górował będzie nad całym krajobrazem i nad wszystkimi okolicznymi ziemiami. Widziałem, z jakim trudem zdobywają pod okiem moich nadzorców coraz odleglejsze tereny. Widziałem, jak maszerują moje armie, widziałem moich niewolników na moich polach i w moich kopalniach, moją flotę na czarnych oceanach świata, który mógłby należeć do mnie.

Arles chyba będzie dzieliła ze mną ten świat przez pewien czas. Ale tylko przez chwilę.

- Zawsze będę cię kochał - szepnąłem jej do ucha głosem Edwarda Bonda. Jednak to usta Ganelona odnalazły jej usta w jeszcze jednym płomiennym pocałunku, ostatnim, na jaki mogłem sobie jeszcze pozwolić.

To zadziwiające, ale wydawało mi się, że właśnie pocałunki Ganelona przekonały ją ostatecznie, że jestem Edwardem Bondem...

Spałem jeszcze kilka godzin, ulokowany we wnętrzach jaskini należących do Edwarda Bonda, ułożony w jego wygodnym łóżku. Przy drzwiach czuwali strażnicy. Spałem, wspominając jego cudowną leśną dziewczynę, którą trzymałem przed chwilą w ramionach i mając w perspektywie jego królestwo i jego narzeczona. Przebudziłem się. Myślałem przecież kategoriami ziemskimi, podczas gdy Edward Bond musiał śnić sny zazdrości.

Moje własne sny nie były za szczęśliwe. W Zamku przebudził się wygłodniały Llyr. Ogromne, lodowate, jakby wijące się prądy nienasyconej żądzły omotały z wolna moją

świadomość w czasie snu. Wiedziałem, że oddziaływały na każdą nie pozbawioną zdolności odczuwania świadomość w Krainie Mroku. Muszę się szybko obudzić, bo potem będzie już za późno. Na razie potrzebowałem jeszcze snu, żeby nabrać sił do nocnej ciężkiej próby. Z uporem uwolniłem się w myślach od Llyra i z tą samą stanowczością odrzuciłem Arles.

W drodze do otchłani snu towarzyszył mi teraz szkarłatny uśmiech Medei i jej namiętne, rzucane z ukosa spojrzenie.

Rozdział 11

W wieży Ghasta Rhymiego

Przycupnąłem razem z Lorrynem pośród drzew. Obserwowaliśmy Zamek Zgromadzenia migoczący światłami na tle rozgwieżdżonego nieba. To była właśnie ta noc. Obaj o tym wiedzieliśmy, odczuwając napięcie, pocąc się z nerwowego podniecenia, które czyniło oczekiwanie naprawdę ciężkim do zniesienia.

Wszyscy ukryci byli w lesie, to tu, to tam. Dochodziły do nas ciche odgłosy świadczące o tym, że armia leśnych ludzi czeka na nasz znak. Tym razem przybyli bardzo licznie. Co pewien czas dostrzegałem odbłask światła gwiazd na lufach karabinów, orientując się, że Buntownicy byli wystarczająco dobrze uzbrojeni, by wydać zaciętą walkę żołnierzom Zgromadzenia.

Może nawet zbyt zaciętą.

Nie przejmowałem się tym zresztą. Leśni ludzie sądzili, że uda im się wziąć szturmem Zamek i Zgromadzenie w wyniku zwyczajnej walki zbrojnej. Według mnie ich jedynym zadaniem było odwrócenie uwagi, podczas gdy ja torowałem sobie drogę do wnętrza Zamku w poszukiwaniu tajemnej broni, która da mi przewagę nad Zgromadzeniem. Podczas natarcia przedostanę się do Ghasta Rhymiego, aby dowiedzieć się o wszystko, co dla mnie najważniejsze.

Reszta mnie nie obchodziła. Nie dbałem o to, że zginie wielu leśnych ludzi. Niech sobie giną. I tak pozostanie jeszcze wystarczająco dużo niewolników, kiedy nadejdzie mój czas. Teraz nic nie było w stanie mnie powstrzymać. Norny walczyły wraz ze mną. Nie mogłem zawieść.

Na terenie Zamku panował ożywiony ruch. Wydobywające się z niego odgłosy przenikały do nas przez spokojną nocną ciszę. W światłach tam i z powrotem poruszały się postacie. Olbrzymia brama rozwarła się gwałtownie, odsłaniając buchającą złocistą jasność i sylwetki tłoczącej się chmary jeźdźców. Z Zamku wyruszyła procesja.

Usłyszałem melodyjny szczęk łańcuchów i zrozumiałem wszystko. Tym razem ofiary jechały przykute do swoich koni, żeby nie znęciły ich dobiegające z lasu syrenie głosy. Wzruszyłem ramionami. No cóż, niech idą na śmierć. Llyr musi mieć swoją ucztę, dopóki istnieje. Lepiej, żeby to byli tamci niż Ganelon złożony w ofierze w Złotym Oknie. Widzieliśmy,

jak oddalają się mroczną drogą i słyszeli dzwonienie łańcuchów.

Tamten na wysokim koniu, okryty podnoszącym się w ramionach płaszczem - to Matholch. Poznałem tego chytrego lisa po sylwetce. Rozpoznałbym go również dlatego, że przycupnięty obok mnie Lorryn ruszył gwałtownie z miejsca, ale szybko się pohamował. Usłyszałem tylko jego świszczący oddech.

- Pamiętaj. On jest mój! - huknął mi wprost do ucha.

Następnie na małym koniu przejechała drobna postać Ede-yrn. Miałem wrażenie, że ciemności przeszywa jej lodowaty oddech.

Wreszcie pojawiła się Medea.

Kiedy nie mogłem już dojrzeć w dali sylwetki czarodziejki, kiedy z jej białej szaty pozostał tylko blask, a szkarłatny płaszcz wtopił się w ciemność, odwróciłem się do Lorryna. Myśli zaczęły mi wirować, a zmienione plany stały się chaotyczne. Znalazłem się pod jakimś nieznanym przymusem, któremu nawet nie próbowałem się opierać.

Nigdy nie widziałem ceremonii składania ofiar w Caer Secaire. To jedna z białych plam w mojej pamięci, stanowiąca niebezpieczną pustkę. Dopóki Ganelon nie przypomni sobie Sabatu, dopóki nie przyjrzy się Llyrowi przyjmującemu ofiary w Złotym Oknie, dopóty nie będzie mógł na tyle sobie zaufać, aby wydać walkę Zgromadzeniu i Llyrowi. Tę lukę trzeba koniecznie wypełnić. Nagle poczułem w sobie przemożną ciekawość. Czyżby tylko ciekawość? A może to... przyciąganie Llyra?

- Lorryn, zaczekaj na mnie tutaj - wyszeptalem w ciemności. - Musimy mieć pewność, że wjechali do Caere Secaire, by rozpocząć Sabat. Nie chcę atakować, dopóki się nie upewnię. Czekać na mnie. - Lorryn poruszył się na znak sprzeciwu, ale zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, już mnie przy nim nie było.

Wydostałem się na drogę i popędziłem cicho, prawie bezgłośnie za wijącą się procesją, która zmierzała w kierunku doliny na Mszę Świętego Secaire'a, na Czarną Mszę. Kiedy bieglem, wydawało mi się, że w powietrzu, którym oddycham, czuję unoszący się zapach Medei. Szal nienawiści i miłości do niej ścisnął mi gardło.

Musi umrzeć pierwsza, obiecywałem sobie w ciemności.

Zauważyłem, jak olbrzymie żelazne wrota prowadzące do Caer Secaire zatrzęsły się za ostatnim z procesji. Wewnątrz Caer panowała ciemność. Tamci, jeden za drugim, wjechali spokojnie do środka i pogrążyli się w jeszcze głębszym mroku. Wrota szczęknęły za nimi donośnie.

Jakaś cząstka pamięci Ganelona, ukryta pod powierzchnią świadomych myśli, nakazała mi skrócić pędem w lewo za węgiel olbrzymiego muru. Usłuchałem posłusznie tego impulsu, niczym lunatyk podążający do nieznanego celu. Pamięć zaprowadziła mnie pod majaczący w ciemnościach mur obronny, nakazując położyć na nim dłonie. Były tam wykute wyraźne wzory spiralnych ornamentów, wijące się na ciemnych kamiennych ścianach jak pędy pnącej rośliny. Wymacywałem pod palcami krzywizny, zastanawiając się, jak to się dzieje.

Po chwili mur poruszył się pod moimi dłońmi. Spiralne ornamenty, stanowiły swego rodzaju klucz. Brama stanęła otworem. Pochłonęła mnie ciemność. Z ufnością szedłem naprzód, przedostając się z czarnej nocy przez czarną bramę do jeszcze czarniejszych mroków. Moje nogi знаły drogę.

Pod stopami, w ciemności, wyrosły mi teraz schody. Spodziewałem się ich i dlatego się nie potknąłem. Niezwykle było to moje poruszanie się w tak obcym i niebezpiecznym terenie. Nie wiedziałem, ani dokąd szedłem, ani dlaczego to robiłem, wiedząc jednak, że moje ciało odnajdzie właściwą drogę. Kręte schody coraz bardziej pięły się w górę.

Tam musiał być Llyr. Czulem jego pełną nienasyconej żądzы obecność, napierającą na moją świadomość. Wrażenie to wielokrotnie przybierało na sile w miejscach, gdzie były wąskie szpary w murze. Llyr był jak grzmot rozlegający się bezustannie w zamkniętej przestrzeni Caer. Teraz we mnie rozbrzmiewał jakiś bezgłośny dźwięk w charakterze odpowiedzi. Był rykiem szalonej radości, przeciwko której szybko się zbuntowałem i stłumiłem ją.

Nie łączyły mnie już z Llyrem tamte zamierzchłe praktyki. Odrzucałem je. Nie byłem już Wybrańcem Llyra. Pomimo to na samą myśl o ofiarach, które biegły na oślep, znikając w ogromnych wrotach Caer Secaire, drżałem w uniesieniu, nie mogąc nad nim zapanować. Zastanawiałem się, czy Zgromadzenie... czy Medea myśli teraz o mnie, ta sama Medea, która ostatniej nocy stała tak blisko ofiar.

Moje nogi zatrzymały się na schodach. Chociaż nic nie było widać, wiedziałem, że mam przed sobą mur rzeźbiony spiralnymi ornamentami. Odszukałem go rękoma i wymacałem wypukłe wzory. Strefa ciemności przesunęła się w bok. Stałem teraz oparty o szeroki kamienny występ i patrzyłem w dół, bardzo daleko w dół.

Caer Secaire przypominał las potężnych kolumn, których kapitele wzbijały się wysoko w górę aż do bezkresnej ciemności. Gdzieś daleko zaczynało jarzyć się światło. Dochodziło z tak wielkiej odległości, że nie można było wypatrzeć jego źródła. Serce zamarło mi na sam widok. Znałem to światło - tę złocistą jasność, płynącą ze Złotego Okna.

Wracała kapryśna pamięć. Okno Llyra. Okno do składania ofiar. Nie byłem w stanie go dostrzec, ale oczyma duszy przypominałem sobie tamten blask. W Caer Llyr materia Okna świeciła wiecznie, a Osoba Llyra zawieszona była w głębi, daleko po drugiej stronie - na zawsze. W Caer Secaire i w innych świątyniach ofiarnych, którymi usiana była kiedyś Kraina Mroku, znajdowały się dokładne repliki Okna. Świeciły one tylko wtedy, kiedy Llyr przechodził w niematerialnej postaci przez ciemność, by odebrać swoją należność.

Unoszący się wysoko w górze wyglądniały Llyr promieniował teraz złocistym blaskiem jak słońce w mrocznej świątyni. Wciąż nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie znajdowało się Okno Secaire i jaki miało kształt. Jakaś częśćka mojej istoty znała tamto złote światło i z drżeniem obserwowała jego narastającą jasność pośród kolumn świątyni.

Daleko w dole zobaczyłem Zgromadzenie - maleńkie stojące postacie, pomniejszone jeszcze w skrócie perspektywnym do trójkątnych form kolorowych płaszczy: Matholcha w zieleni, Edeyrn w żółtym, Medei w szkarłacie. Za nimi ustawiono strażę. Przed nimi pośród

kolumn przechodzili bezwolnie ostatni wybrani niewolnicy. Nie było widać, dokąd szli, chociaż i tak wiedziałem. Okno rozdziawiało się żądne ofiar, które tak czy tak musiały do niego dotrzeć.

Kiedy światło rozlało się szerzej, zobaczyłem ogromny czarny ołtarz w kształcie pucharu, ustawiony na czarnym podwyższeniu przed Zgromadzeniem. Nad pucharem zawieszona była rynna zakończona lejkiem. Podążając wzrokiem od wylotu koryta ku górze, dostrzegłem w coraz jaśniejszym świetle ciemne załamanie, które opadało szerokim łukiem z tajemniczej wysokości, gdzieś z bardzo daleka, aż do ołtarza - pucharu. Czyżby wychodziło z samego Okna? Poruszony do głębi zdałem sobie sprawę, do czego służy ta rynna. Oparłem się o kamienny występ cały drżąc zawczasu w oczekiwaniu na Niego, który zawieszony był gdzieś wysoko jak słońce wschodzące złocistym światłem.

Z dołu zaczynał dobiegać cichy śpiew. Rozpoznałem czysty, srebrzysty głos Medei, przenikający ciszę i mrok. Śpiew wzmagał się jak woń kadzidła, rozbrzmiewając wśród potężnych, nie kończących się kolumn Secaire.

W mrokach świątyni narastało napięcie oczekiwania. Stojące w dole nieruchome postacie obserwowały wschodzące światło z podniesionymi głowami. Wciąż słychać było śpiew Medei.

Tam, w lesie kolumn Secaire, zatrzymał się czas. Zawieszony w górze Llyr czekał na wyznaczoną przez Medeę ofiarę.

Nagle gdzieś z wysoka rozległ się potworny ryk. Tylko raz. Na znak triumfalnej radości wystrzelił snop oślepiającego światła, stanowiąc niema reakcję samego Llyra. Śpiew Medei osiągnął najwyższe tony i zamarł.

Coś poruszyło się pośród klumn. Przesuwało się w dół wzdłuż zakrzywionej rynny. Szukałem wzrokiem ołtarza i umieszczonego nad nim lejkowatego zakończenia koryta.

Zgromadzenie, stanowiące gromadę zamarłych postaci, czekało nieustępliwie.

Z lejka zaczynała ściekać krew.

Nie wiem, jak długo stałem przewieszony przez kamienny występ ze wzrokiem przykutym do ołtarza. Nie wiem też, ile razy słyszałem rozlegający się z góry ryk, ile razy śpiew Medei osiągał pożądliwe crescendo, ile razy światło buchalo blaskiem na znak triumfu, a na ołtarz splywała do wielkiego pucharu krew. Na wszystko inne pozostawałem ślepy i głuchy. Część mojej istoty była razem z Llyrem w jego Złotym Oknie i drżała w uniesieniu, kiedy odbierał ofiary, część - tam w dole ze Zgromadzeniem, dzieląc z nim wspaniałość ceremonii Sabatu.

Wiedziałem, że zwlekam zbyt długo. Nie potrafię powiedzieć, co mnie uratowało. Jakiś głos jaźni wydał w mojej świadomości niesłyszalny okrzyk, przestrzegając mnie, że niebezpiecznie trwonię czas, że muszę znaleźć się gdzie indziej, zanim skończy się Sabat, że Lorryn czeka na mnie bez końca razem ze swoimi ludźmi, podczas gdy ja objadam się jak żarłok na ucztę Llyra.

Przytomność umysłu wracała opornie. Z niewyobrażalnym wysiłkiem odstąpiłem od krawędzi Złotego Okna. Stałem teraz w ciemnościach z uczuciem zawrotu głowy, ale znów we

własnym ciele, a nie razem z Llyrem, zawieszony gdzieś wysoko w górze, bez świadomości. Tam w dole Zgromadzenie wciąż trwało w stanie napięcia, ogarnięte ekstazą aktu ofiary. Jak długo jeszcze miałem czekać, żeby nabrać pewności? Może całą noc, a może tylko godzinę. Muszę się spieszyć, o ile pośpiech nie jest już daremny. Nie było sposobu, żeby to sprawdzić.

Wracałem z powrotem w ciemnościach. Zszedłem w dół po niewidocznych stopniach, przekroczyłem niewidzialną czarną bramę i wydostałem się na drogę do Zamku Zgromadzenia. Wciąż kręciło mi się w głowie z powodu niedawnego uniesienia, a przed oczyma miałem oślepiający blask bijący od Okna i krwawą rynnę nad ołtarzem. W uszach głośniejszy dźwięczał mi cienki, słodki śpiew Medei niż odgłos własnych kroków na drodze.

Czerwony księżyc był już bardzo nisko na niebie, kiedy wróciłem do Lorryna, przycupniętego wciąż przy zamkowym murze, na wpół oszalonego z niecierpliwości. Gdy nadbiegałem, wśród ukrywających się żołnierzy zapanowało ożywione podniecenie. Ruszyli całą falą naprzód, jak gdyby osiągnęli już kres wytrzymałości, gotowi do ataku, nie czekając na mój rozkaz.

Wymachiwałem do Lorryna z odległości zaledwie kilku metrów od Zamku, nie zwracając uwagi na strażników. Niech mnie zobaczą, niech usłyszą.

- Daj znak do ataku! - krzyknąłem w stronę Lorryna.

Zobaczyłem, jak poderwał się tuż przy drodze. Na srebrnym rogu, który podniósł do ust, zabłysło światło księżyca. Dudniące dźwięki umówionego sygnału rozdzierały nocną ciszę. Również i mnie wyrwały nareszcie z letargu.

Usłyszałem przetaczający się pośród drzew przeciągły ryk leśnych ludzi, całą falą ruszających naprzód do ataku. Sam także wrzeszczałem w spontanicznym odruchu. Podniecenie żądzą walki dorównywało ekstazie, którą przeżywałem niedawno wspólnie z Llyrem.

Huk wystrzałów zagłuszył nasz hałas. Zamkiem wstrząsnęły pierwsze wybuchy granatów. Kaleczyły mury zewnętrzne, odrywając z nich odłamki. Z wnętrza dobywały się krzyki, przenikliwe dźwięki rogów wygrywających sygnały, wrzaski zdezorientowanych, wystraszonych, pozbawionych dowódcy strażników. Byłem przekonany, że zbiorą się jeszcze do walki. Zostali przecież należycie wyszkoleni przez Matholcha i przeze mnie. Poza tym mieli broń, za pomocą której mogli wydać leśnemu ludowi zażarty bój.

Kiedy otrząsną się z paniki, wokół murów otaczających Zamek poleje się sporo krwi.

Nie czekałem na ten widok. Pierwsze wybuchy przerwały kamienną zaporę tuż obok mnie. Przedarłem się bez trwogi przez wyrwę w murze, nie zważając na kule rozpryskujące się o kamienie. Tej nocy Norny były po mojej stronie. Wiodłem zaklęty żywot; wiedziałem, że nie może mi się nie udać.

Gdzieś nade mną w obleganych wieżach tkwił Ghast Rhymi, spowity w chłodną obojętność i jak przystało na boga pozostający z dala od walki rozgrywanej wokół Zamku Zgromadzenia. Miałem umówione spotkanie z Ghastem Rhymim, chociaż on jeszcze o tym nie wiedział.

Rzuciłem się do bramy wjazdowej do Zamku, nie zwracając uwagi na rój strażników. Nie rozpoznali mnie w ciemności i w tym całym zamieszaniu, chociaż zorientowali się po mojej tunice, że nie jestem mieszkańcem lasu, i pozwolili się odepchnąć na bok.

Jeszcze trzy kroki i już biegłem po olbrzymich schodach na górę.

Rozdział 12

Harfa Szatana

I oto znalazłem się w Zamku Zgromadzenia. Jakże osobliwe zrobił na mnie wrażenie, kiedy przemierzałem jego wnętrza. Wydały mi się znajome i dziwnie obce zarazem, jak gdyby oglądane przez zasłonę wszczepionej pamięci Edwarda Bonda.

Dopóki szedłem szybko, wydawało mi się, że znam drogę. Kiedy zaczynałem się zastanawiać, świadomy umysł przejmował kontrolę, a ponieważ wciąż przesłaniały go sztuczne wspomnienia, błądziłem po salach i korytarzach, które były mi znajome tylko wtedy, kiedy nie myślałem o nich wprost.

Czułem się tak, jak gdyby wszystko, na czym koncentrowałem uwagę, robiło się przeraźliwie obce, podczas gdy cała reszta pozostawała jasna, dopóki nie zacząłem myśleć.

Kroczyłem zamaszyście sklepionymi korytarzami, stawiając nogi na lśniących, wzorzystych posadzkach, których mozaiki przedstawiały motywy częściowo znanych mi legendarnych opowieści. Stąpałem po centaurach i satyrach, których prawdziwe oblicza znała dobrze połowa mojej świadomości należąca do Ganelona, podczas gdy połowa należąca do Edwarda Bonda na próżno zastanawiała się, czy tacy ludzie istnieją w świecie wynaturzonym przez mutacje.

Czasami ta podwójna świadomość stanowiła dla mnie źródło siły, kiedy indziej - niszczycielskiej słabości. Żywiłem wielką nadzieję, że nie dojdzie do jakiegoś zahamowania, ponieważ gdybym utracił teraz ów wątek pamięci, który siłą rozpędu prowadził mnie do Ghasta Rhymiego, pewnie już bym go nie odzyskał. Każda chwila wahania mogła okazać się fatalna dla moich planów.

Pamięć sugerowała mi, że Ghast Rhymi powinien być gdzieś w najwyższej wieży zamkowej. Tam również znajdował się skarbiec, w którym skrycie przechowywano Maskę i Różdżkę. W spokojnych, nietykalnych myślach Ghasta Rhymiego spoczywała ukryta jeszcze głębiej tajemnica słabości Llyra.

Muszę mieć te wszystkie trzy rzeczy, chociaż zdobycie ich nie będzie łatwe. Wiedziałem przecież, że skarbeca strzeże Ghast Rhymi, chociaż nie pamiętałem dokładnie w jaki sposób. Zgromadzenie nie pozostawiłoby takiego sekretnego miejsca dostępnego wszystkim bez wyjątku, skoro przechowywano w nim przedmioty mogące doprowadzić właścicieli skarbów do zagłady.

Zarówno ja, jak i Ganelon trzymali zamknięte w skarbcu swoje tajemnicze przedmioty. Nikt ze Zgromadzenia, nikt kto posługuje się czarami, nie może zadawać się z ciemnymi mocami, jeżeli nie stworzy własnego narzędzia umożliwiającego samozagładę. Takie jest obowiązujące Prawo.

Kryją się za tym różne tajemnice, o których nie wolno mi mówić. Jedna powszechnie znana pozostaje jasna. We wszystkich tradycyjnych wierzeniach ludowych na Ziemi rozpowszechniony jest ten sam mit - obdarzeni mocą mężczyźni i kobiety koncentrują swoją moc na jakimś neutralnym przedmiocie.

Mit o duszy zewnętrznej wspólny jest dla wszystkich ludów na Ziemi, lecz jego źródła szukać należy w tajnikach mądrości Krainy Mroku. Mogę powiedzieć tylko tyle, że we wszystkim musi zostać zachowana równowaga. Każdemu zjawisku negatywnemu odpowiada zjawisko pozytywne. My, którzy należymy do Zgromadzenia, nie bylibyśmy w stanie rozwinąć naszej mocy, gdybyśmy w jakiś sposób nie stworzyli gdzieś ich ułomnych odpowiedników. Musimy umiejętnie ukrywać te słabości, aby nie natrafił na nie żaden przeciwnik.

Nawet Zgromadzenie nie znalazło miejsca przechowywania mojej tajemnicy. Tymczasem ja wiedziałem o sekrecie Medei i znałem częściowo tajemnicę Edeyrn. Jeżeli chodzi o Matholcha... no cóż, przeciwko niemu potrzebowałbym jedynie własnej mocy należnej mi jako jednemu ze Zgromadzenia. Ghast Rhymi się nie liczył - walka go nie interesowała.

Pozostał jeszcze Llyr!

Ten, kto zdoła odnaleźć ukryty gdzieś Miecz i użyć go w ów nieznaną sposob, zgodnie z przeznaczeniem, będzie miał życie Llyra w swoich rękach. Istniało jednak pewne niebezpieczeństwo. Jeżeli moc Llyra w Krainie Mroku była niepojęta, równoważąca ją energia ukryta w Mieczu musiała być równie potężna. Samo zbliżenie się do Miecza mogłoby okazać się śmiertelnie niebezpieczne, nie mówiąc już o wzięciu go do ręki. Skoro wszakże wiadomo, że będę musiał trzymać go w dłoni, nie ma sensu zastanawiać się nad zagrożeniem.

Wciąż szedłem w górę, coraz dalej i dalej.

Chociaż nie słyszałem odgłosów bitwy, wiedziałem, że przy bramie walczą i padają strażnicy Zgromadzenia i niewolnicy. Ginęli także ludzie Lorryna. Przestrzegalem go, że nikt nie ma prawa przelamać jego szeregów. Nie można dopuścić do tego, by ktoś ostrzegł tamtych w Caer Secaire. Byłem przekonany, że Lorryn zastosuje się do mojego rozkazu pomimo usilnego pragnienia, żeby wziąć się za łby z Matholchem. Zresztą był w Zamku ktoś, kto nie robiąc żadnego ruchu potrafiłby przekazać wiadomość dla Medei. Tylko on jeden!

Jednak nie wysłał wiadomości. Uświadomiłem to sobie, kiedy przedarłem się przez białą zasłonę i wtargnąłem do pomieszczenia na wieży. Była to niewielka półkolista komnata. Ściany, podłoga i sufit miały kolor jasnej kości słoniowej. Skrzydłowe okna pozostawiono zamknięte; zresztą Ghast Rhymi nie potrzebował widzieć, żeby posługiwać się wzrokiem.

Starzec odpoczywał w pozycji siedzącej na porozkładanych na fotelu poduszkach. Jego białe jak śnieg włosy i broda, skręcone w loki i kędziory, spływały w dół, zlewając się z białą prostą szatą. Dłonie, które trzymał wsparte na poręczach fotela, były jak z wosku - tak

przezroczyście, że dało się prawie prześledzić bieg rozrzedzonej krwi, krążącej jeszcze bardzo słabo w jego starczych żyłach. Gasł jak dopalająca się świeca. Płomień życia migotał w nim tak delikatnie, że wiatr mógłby zdmuchnąć go w wieczną ciemność. Tak trwał Najstarszy z Najstarszych. Jego błękitne niewidzące oczy nie dostrzegły mnie. Zwrócone były ku tajemnym sprawom ducha.

Nagle pamięć Ganelona przyplynęła jak fala. Ganelon wiele się nauczył od Ghasta Rhymiego, pomimo że ten już wtedy był stary. Uplywający czas wyniszczył go jak fale morskie, które złobia kamień, aż zostanie z niego tylko cienka warstewka, półprzeźroczysta jak przydymione szkło.

W Ghaście Rhymim dostrzec było można dogasające ogniki życia, które zamieniały się w stygnący żar, prawie w popiół.

Nie widział mnie. Nie tak łatwo wydobyć Ghasta Rhymiego z otchłani, w której krąży jego myśli.

Zacząłem coś do niego mówić, ale nie reagował.

Ostrożnie przeszedłem obok starca, kierując się w stronę ściany dzielącej szczyt wieży na połowę. Chociaż nic nie wskazywało, aby były w niej jakieś drzwi, wiedziałem, na czym polega szyfr. Przesunąłem dłonie po chłodnej powierzchni muru, kreśląc zawiły wzór. Przedemną otworzyła się nisza.

Przestąpiłem próg.

Tutaj przechowywano świętości należące do Zgromadzenia.

Teraz patrzyłem na skarbiec innymi oczyma, widząc wszystko bardziej wyraziście dzięki pamięci Edwarda Bonda. Przedtem nigdy mnie nie zastanawiały specjalnie palące się przyćmionym bursztynowym światłem soczewki, umieszczone w zagłębieniach muru. To światło było zabójcze. Wiedza zdobyta na Ziemi przypominała mi zasadę jego działania. To nie magia, lecz błyskawiczne odprowadzenie energii elektrycznej z mózgu. Tamten stożkowy czarny przyrząd również zabijał. Potrafił rozerwać człowieka na kawałki. Tak gwałtownie targał jego siłami żywotnymi przerzucanymi bezustannie między sztuczną katodą i anodą, że żywe ciało ludzkie nie było w stanie znieść wytworzonego naprężenia. Powstawał zmienny prąd pulsujący.

Jednak tego rodzaju broń mnie nie interesowała. Szukałem innego łupu. Nie było tutaj żadnych śmiertelnych pułapek, których należałoby się wystrzegać, ponieważ poza Zgromadzeniem nikt nie wiedział, ani jak się dostać do skarbcza, ani gdzie on się znajduje, ani nawet tego, czy w ogóle istnieje, jeśli nie liczyć legendarnych opowieści o nim. Poza tym żaden niewolnik, żaden strażnik nie odważyłby się wejść na wieżę Ghasta Rhymiego.

Rzuciłem przelotne spojrzenie na miecz, ale nie na ten, którego potrzebowałem. Mój wzrok padł na wypolerowaną tarczę i harfę wyposażoną w skomplikowany mechanizm strojący. Znałem ten instrument. Według panującej na Ziemi legendy była to harfa Orfeusza, służąca do przywoływania umarłych z Hadesu. Ręce ludzkie nie potrafiłyby na niej grać. Harfa również mnie nie interesowała, przynajmniej nie w tej chwili.

To, czego pragnąłem, leżało na półce, zaplombowane w cylindrycznej szkatule. Zerwałem pieczęcie i wyjąłem cienki czarny pręt z uchwytem.

Tak, to Magiczna Różdżka. Pręt, za którego pomocą można czerpać energię elektromagnetyczną z planety. Taką samą zdolność wykazywały pozostałe tego rodzaju różdżki, lecz ta jako jedyna nie miała urządzenia zabezpieczającego, które ogranicza moc. Była niebezpieczna w użyciu.

W innej szkatule znalazłem Kryształową Maskę - wygiętą, przezroczystą błonę, osłaniającą oczy jak szklane maskaradowe domino. Ta Maska chroniła również przed Edeyrn.

Szukałem dalej, nie mogąc natrafić na najmniejszy ślad Miecza Llyra.

Czas nie zatrzymał się. Nie słyszałem wprawdzie zgiełku bitwy, ale wiedziałem, że walka trwa nadal. Zdawałem sobie sprawę, że prędzej czy później Zgromadzenie powróci do Zamku. Z nim mogłem walczyć już teraz, ale nie byłbym w stanie pokonać Llyra. Nie odważyłbym się ryzykować wyjścia, dopóki nie sprawdzę do końca.

Stałem w drzwiach skarbcza, wpatrzony w srebrzystą głowę Ghasta Rhymiego. Cokolwiek myślałby strażnik, którego Llyr tu postawił, wiedział, że mam prawo do tego arsenału. Nawet nie drgnął. Jego myśli wędrowały gdzieś daleko po niepojętych otchłaniach i nielatwo byłoby przywołać je z powrotem. Wywieranie nacisku na Ghasta Rhymiego w ogóle nie wchodziło w grę. Miał doskonale wyjście - mógł po prostu umrzeć.

Ja również znalazłem rozwiązanie.

Wróciłem do skarbcza i chwyciłem harfę. Zabrałem ją stamtąd i położyłem przed starcem. Nieruchome spojrzenie jego błękitnych oczu nie dawało oznak życia.

Podszedłem do okien i otworzyłem je na oścież. Następnie wróciłem do Ghasta Rhymiego i opadając na poduszki tuż obok harfy trąciłem lekko jej skomplikowany mechanizm strojący.

Ta harfa była kiedyś w Świecie Ziemskim albo w innych, podobnych do niego światach. Dźwięki wydobywane z jej strun opiewają legendy. Mityczne miecze również rozślawiane są w baśniach. Znana jest obdarzona mocą lira Orfeusza, ulokowana za sprawą Jupitera pośród gwiazd, harfa Gwidona z Brytanii, zaczarowywująca dusze ludzkie, harfa Alfreda, pomocna w rozgromieniu państwa duńskiego, harfa Dawida, który grał na niej przed obliczem Szawła.

W muzyce drzemie potęga. Dzisiaj nikt nie potrafi powiedzieć, jakie dźwięki zburzyły mury Jerycha, ale kiedyś wiedziano.

Harfa z Krainy Mroku owiana była legendami krążącymi wśród zwykłego ludu. Mawiano, że grał na niej demon, że jej struny szarpały zwiewne palce żywiołów. W pewnym sensie ludzie mieli rację.

Harfa ta skonstruowana została z niewiarygodną, ściśle naukową precyzją. Była maszyną wytwarzającą drgania akustyczne, drgania niższe od częstotliwości dźwięku, czyste vibracje harmonizujące z falami myślowymi wysyłanymi przez mózg. Wszystko to połączono w jednolitą całość funkcjonującą częściowo na zasadzie hipnozy, a częściowo na zasadzie magnetyzmu elektrycznego. Mózg - to koloid, automat, a każdy mechanizm można kontrolować.

Harfa dysponująca takimi możliwościami potrafi znaleźć klucz do świadomości i założyć na nią okowy.

Przez otwarte okna słyhać było z dołu przytłumiony szczełk mieczy i nikle odgłosy walczących. Dźwięki te nie docierały do Ghasta Rhymiego. Pograżony w świecie czystej abstrakcji, pochłonięty był głębokimi, odwiecznymi myślami.

Dotknąłem palcami mechanizmu przestrajającego harfy. Na początku szło mi niezdarnie, ale z chwilą, kiedy wraz z pamięcią odzyskałem sprawność manualną - znacznie łatwiej.

Dźwięk szarpniętej struny obiegl białą komnatę jak ciche westchnienie. Pomruk nut minorowych zabrzmiał w niskiej, marzycielsko odległej tonacji. Kiedy mechanizm strojący natrafił na kod myślowy Ghasta Rhymiego, harfa natychmiast tchnęła życiem pod dotknięciem moich palców.

Dusza Ghasta Rhymiego przełożona została na język czystej muzyki.

Odezwał się przenikliwy, drażniący ucho, pojedynczy dźwięk, który piał się coraz wyżej i wyżej, aż zgasł, stając się niesłyszalny. Teraz gdzieś w bardzo niskich rejestrach zabrzmiały tony podobne do huczącego wiatru. Wznosiły się, przybierały na sile i cichły na przemian jak ryk wichru, w którym straszy diabeł. Melodia wylewała się kaskadami dźwięków, przechodząc w muzykę pieśni żalobnej.

Wciąż rozbrzmiewała tamta bardzo wysoka, pojedyncza, piskliwa nuta - zimna, czysta i biała jak ośnieżony szczyt olbrzymiej góry.

Potężne porywy wiatru stawały się coraz głośniejsze. Przez rwące potoki czarodziejskiej muzyki gnały rozpędzone arpeggia.

Pioruny rozłupywały glazy. Targane wstrząsami lądy zgrzytały przeraźliwie. Huczał potop, zalewając rozkołysane lasy.

Rozległ się jeszcze jeden dźwięk - ponury, buczący, głuchy i niesamowity. Moim oczom ukazała się otchłań pomiędzy światami, przestrzeń, w której pusta, kosmiczna noc tworzy bezdrożną pustynię.

Nagle usłyszałem zupełnie absurdalną, wesoło rozśpiewaną melodię w zaraźliwym rytmie rocka, przywołującą na myśl jasne barwy, skąpane w słońcu pola i rzeki.

Ghast Rhymi poruszył się.

Jego błękitne oczy oprzytomniały na chwilę. Zobaczyły mnie.

A ja dostrzegłem w tym wątłym, starym ciele tłące się jeszcze płomyki życia.

Wiedziałem, że on umiera, że zakłóciłem jego odwieczny spokój, że niespodziewanie przestał panować nad swoim życiem.

Przysunąłem harfę do siebie i dotknąłem mechanizmu strojącego.

Ghast Rhymi siedział przede mną martwy, a w jego starczym mózgu dogasała ostatnia najslabsza iskierka.

Na stygnący żar życia Ghasta Rhymiego zesłałem potężne jak huraganowy wiatr zakłęcie czarodziejskiej harfy.

Tak jak Orfeusz wy dostał martwą Eurydykę z królestwa Plutona, podobnie i ja, zarzucając sieć z muzyki, usidliłem duszę Ghasta Rhymiego, wydobywając go ze śmierci.

Na początku walczył. Czulem, jak jego świadomość wykręca się i wije, próbując uciekać. Jednak harfa znalazła już do niej właściwy klucz, nie pozwalając starcowi odejść. Nieubłagane przyciągnęła go z powrotem

Tłący się żar życia zamigotał, przygasł i znów zajaśniał.

Struny rozbrzmiewały teraz głośniejsz. Rozlegał się coraz potężniejszy ryk przypominający odgłos rozkołysanych, wzburzonych fal.

Czysty, przenikliwy, nieskalany jak lodowate światło gwiazdy dźwięk przeskoczył w górne rejestry, nie przestając nabierać wysokości.

Rozpędzony, huczący wrzask o słodkim, miodowym zapachu piżma, nasycony wonią kwiatów i ambry, płonący barwami opalu, czerwonego jak krew rubinu i błękitnego ametystu tworzył cudownie kolorowy kobierzec, który falował i drżał w całej komnacie jak wyraźnie dostrzegalna sieć.

Ghast Rhymi został wciągnięty w matnię, schwytyany jak ptak w sidła klusownika.

W zgaszonych błękitnych oczach znów ożyła świadomość. Starzec przestał się już zmagać. Podał się. Łatwiej było powrócić do życia i pozwolić mi zadawać pytania, aniżeli przeciwstawiać się rozbrzmiewającym strunom, które potrafiły uwięzić prawdziwą duszę ludzką jak w klatce.

Przykryte siwą brodą usta starca poruszyły się.

- Ganelonie - przemówił. - Kiedy odezwały się struny harfy, wiedziałem, kto na niej gra. W porządku, zadawaj swoje pytania, a potem pozwól mi umrzeć. Nie chciałbym żyć w czasach, które teraz nadchodzą. Ale ty będziesz w nich żył, Ganelonie, chociaż kiedyś także umrzesz. Tyle wyczytałem w przyszłości.

Siwa głowa Ghasta Rhymiego pochyliła się z wolna. Przez chwilę nasłuchiwał. Ja również się wsłuchiwałem.

Ostatnie, rozkoszne aż do bólu dźwięki harfy umilkły w rozedrganym powietrzu.

Przez otwarte okna dobiegł przytłumiony szczełk miecza i niemy wrzask konającego.

Rozdział 13

Wojna, krwawa wojna

Byłem przepelniony żalem. Zgasł cień potęgi Ghasta Rhymiego. Siedział przede mną pokurczony, wąty starzec. Poczulem w sobie nagły, spontaniczny odruch, nakazujący mi uciekać i zostawić go w spokoju, by mógł z powrotem pozełgować do otchłani myśli. Przypomniałem sobie, że kiedyś Ghast Rhymi był wysokim, potężnym mężczyzną, chociaż odkąd sięgam pamięcią, już tak nie wyglądał. W dzieciństwie siadywałem u stóp tego najstarszego ze Zgromadzenia, przyglądając się z lękiem i czcią jego majestatycznej, brodatej twarzy.

Być może w tamtym obliczu było więcej życia, więcej ciepła i dobroci. Teraz to odległa przeszłość. Twarz Ghasta Rhymiego przypominała oblicze boga albo kogoś, kto widział wielu bogów.

- Mistrzu - wyjąkałem, pomimo że język mi drętwiał. - Wybacz mi.

Chociaż w patrzących gdzieś daleko błękitnych oczach nawet nie błysnęło światło, wyczułem w nich drgnienie.

- Nazywasz mnie mistrzem? - przemówił Ghast Rhymi. - Ty, Ganelon? Od bardzo dawna przed nikim się nie ukorzyłeś.

Mój triumf obrócił się w proch. Skłoniłem głowę. To prawda, pokonałem Ghasta Rhymiego, ale nie podobał mi się smak tego zwycięstwa.

- W końcu koło samo się zamyka - powiedział cicho starzec. - Mamy ze sobą znacznie więcej wspólnego niż pozostali. Obaj jesteśmy ludźmi, Ganelonie, nie mutantami. Ponieważ to ja jestem Przywódcą Zgromadzenia, pozwalam Medei i innym korzystać z mojej mądrości. Ale... ale... - Zawahał się.

- Moja świadomość przez dwadzieścia lat zamieszkiwała w mroku - mówił dalej. - Poza dobrem i złem, z dala od życia i ludzi unoszących się z jego prądem jak marionetki. Kiedy mnie budzono, udzielałem takich odpowiedzi, jakie znałem. To nie miało żadnego znaczenia. Uważałem, że straciłem wszelki kontakt z rzeczywistością. Jeżeli nawet śmierć zgarnęłaby wszystkich mężczyzn i wszystkie kobiety w Krainie Mroku, również i to nie miałyby żadnego znaczenia.

Nie byłem w stanie nic powiedzieć. Zdawałem sobie sprawę, że wyrządziłem Ghastowi Rhymiemu naprawdę wielką krzywdę, zakłóciłem mu jego głęboki spokój.

Błękitny wzrok starca spoczął na mnie jak światło gwiazd.

- Pomimo wszystko uważam, że ma to jakieś znaczenie - Ghast Rhymi mówił dalej. - Chociaż w twoich żyłach, Ganelonie, nie płynie ani odrobina mojej krwi, jesteśmy sobie bliscy. Uczylem cię jak własnego syna. Kształciłem, abyś mógł spełnić swoją powinność - rządzić Zgromadzeniem na moim miejscu. Teraz chyba wielu rzeczy żałuję, a przede wszystkim odpowiedzi, jaką dałem Zgromadzeniu po tym, jak Medea zabrała cię z powrotem z Ziemi.

- Kazales im mnie zabić - powiedziałem.

Kiwnął głową potakująco.

- Matholch się bał. Edeyrn stanęła po jego stronie. Przekonali także Medeę. Matholch powiedział, że Ganelon się zmienił, że to niebezpieczne i niech stary przepowie przyszłość i zobaczy, co też ona w sobie kryje. Dlatego przyszli do mnie, a ja pozwoliłem swej świadomości przemknąć przez wichry czasu i zajrzeć w przyszłość.

- I co zobaczyłeś?

- Zglądę Zgromadzenia, jeśli ty będziesz żył - oświadczył Ghast Rhymi. - Ujrzałem ramiona Llyra sięgające w głąb Krainy Mroku, leżącego w ciemnościach martwego Matholcha, widmo śmierci nad Edeyrn i Medeą. Czas przecież płynie, Ganelonie. Wszystko się zmienia, tak jak zmieniają się ludzie. Prawdopodobieństwo zdarzeń również. Kiedy odchodziłeś do świata ziemskiego, byłeś Ganelonem. Wróciłeś z podwójną świadomością. Wyposażony jesteś w pamięć Edwarda Bonda, którą możesz się posługiwać jak narzędziem. Medea powinna cię zostawić na Ziemi, ale ona ciebie kochała.

- I pomimo to zgodziła się, żeby tamci mnie zabili.

- Czy ty wiesz, co ona naprawdę myślała? - spytał Ghast Rhymi. - Tam, w Caer Secaire, podczas składania ofiar miał się ukazać Llyr. A ty zostałeś przecież naznaczony przez Llyra. Czy Medea mogła sądzić, że będziesz zabity?

Narastały we mnie wątpliwości. Medea prowadziła mnie do Caer jak barana na rzeź. Niech sama się wytłumaczy, jeżeli potrafi. Wiadomo, że Edeyrn i Matholch nie mają nic na swoje usprawiedliwienie.

- Medei mogę darować życie - powiedziałem. - Wikołako-wi - nie. Przyrzekłem już jego śmierć. Edeyrn też musi zginąć.

Pokazałem Ghastowi Rhymiemu Kryształową Maskę. Pokiwał głową.

- A co z Llyrem? - spytał.

- Zostałem naznaczony przez Niego jako Ganelon - odpowiedziałem. - A ty teraz twierdzisz, że mam podwójną świadomość albo co najmniej dodatkowy system pamięci, choćby nawet sztucznej. Nikt mnie nie zmusi, żebym został wasalem Llyra. W świecie ziemskim wiele się dowiedziałem. Llyr wcale nie jest bogiem.

Głowa starca pochyliła się. Podniesiona w górę przezroczysta dłoń dotknęła kręconej brody. Po chwili Ghast Rhymi spojrzal na mnie i uśmiechnął się.

- A więc ty wiesz, tak? - spytał. - Powiem ci, Ganelonie, to, czego nikt się nawet nie domyśla. Nie jesteś pierwszy, który przybył z Ziemi do Krainy Mroku. Pierwszy byłem ja.

Wpatrywałem się w niego z nie dającym się ukryć zdumieniem.

- Ty urodziłeś się w Krainie Mroku, ja - nie - dodał. - Moje ciało powstało z prochu Ziemi. Od chwili, kiedy się tutaj znalazłem, upłynęło wiele czasu. Już nigdy nie będę mógł tam powrócić, ponieważ przeżyłem już o wiele więcej lat, niż było mi przeznaczone. Tylko tutaj mogę podtrzymać tłącą się we mnie iskierkę życia, chociaż nie przywiązuję do tego specjalnego znaczenia. Jestem przecież z urodzenia Ziemianinem, który znał Yortigerna i królów Walii.

Miał swoje posiadłości w Caer Merdin, nad którym świeciło inne słońce, nie ten purpurowy żar, który jarzy się na niebie Krainy Mroku. Tam niebo było błękitne, podobnie jak morze wokół Brytanii, a pod drzewami dębowymi kryły się szare głązy ołtarzy druidów. Taka jest moja ojczyzna, Ganelonie. Taka była. O ile mi wiadomo, sprowadzili mnie tutaj ludzie nazywani w tamtych czasach magami, a dokonali tego z pomocą kobiety, kobiety z Krainy Mroku imieniem Viviane.

- Jesteś z urodzenia Ziemianinem - powtórzyłem za Ghastem Rhymim.

- Niegdyś byłem. W miarę jak stawałem się coraz starszy, osiągając bardzo sędziwy już wiek, żałowałem mojego wygnania, chociaż posiadałem wielką mądrość. Oddałbym ją całą za jeden powiew chłodnego, kojącego wiatru, który wiał od Morza Irlandzkiego, kiedy byłem chłopcem. Nigdy nie będę mógł tam wrócić. W świecie ziemskim moje ciało rozsypałoby się w proch. Dlatego zatracam się w marzeniach, marzeniach o Ziemi, Ganelonie.

Błękitne oczy Ghasta Rhymiego zajaśniały od wspomnień. Zniżył głos.

- W marzeniach przywracałem dawne czasy. Znów stałem na stromych walijskich skałach i obserwowałem lososia skaczącego w ciemnych wodach Usk. Znów widywałem Artoriusa, jego ojca Uthera i oddychałem zapachem dawnej Brytanii z czasów jej młodości. Ale to tylko marzenia.

Jednak marzenia to nie wszystko. W imię miłości znosiłem ten proch, z którego powstałem. Przez wzgląd na tamten wiatr, który powiał z pradawnej Irlandii, pomogę ci teraz, Ganelonie. Nigdy nie sądziłem, że życie nabierze jeszcze dla mnie jakiegokolwiek znaczenia. Żeby ohydna nienawiść miała zaprowadzić Ziemianina na rzeź - nie! A ty pochodzisz przecież z Ziemi, chociaż urodziłeś się w świecie magii.

Ghast Rhymi pochylił się do przodu, zniewalając mnie wzrokiem.

- Masz rację - powiedział. - Llyr nie jest żadnym bogiem. To potwór. Zwyczajny potwór, którego da się uśmiercić.

- Za pomocą Miecza Zwango Llyrem?

- Posłuchaj. Zapomnij o tych wszystkich legendach. Na nich opiera się moc Llyra i potęga Krainy Mroku. Wszystko przesłaniają mityczne symbole, wzbudzając paniczny strach. Pod tą zasłoną kryje się zwykła prawda - wampiry, wilkołaki, zatruci sokiem drzewa upasowego. To biologiczne potwory, dziczące mutacje, z których pierwszą stanowi Llyr. Jego narodziny spowodowały rozszczepienie jednorodnego czasowo świata na dwa światy, z których każdy wirował według własnej krzywej prawdopodobieństwa. Llyr stanowił zasadniczy element wzoru czasowego entropii.

Słuchaj dalej. W chwili narodzin Llyr był istotą ludzką, ale jego umysł różnił się od umysłu człowieka. Wyposażony został w pewne ukryte zdolności wrodzone, które w sposób naturalny nie rozwinęłyby się w obrębie gatunku przez milion lat. Ponieważ w Llyrze ukształtowały się te zdolności przedwcześnie, uległy wypaczeniu i zniekształceniu, prowadząc do fatalnych skutków. Do świata przyszłości, rządzonego prawami logiki i wiedzy, pasowałyby takie

zdolności umysłowe. Jednak do mrocznej epoki przesądów zbyt nie nadawały. Dlatego Llyr, górując nad innymi wiedzą i siłą ducha, przeobraził się w potwora - monstrum o cechach niegdyś człowieczych, zanikających, w miarę jak stawał się coraz starszy i mądrzejszy o swoją wyobcowaną wiedzę. W Caer Llyr działają specjalne urządzenia, wysyłające promieniowanie niezbędne Llyrowi do życia. Promieniowanie to przenika Krainę Mroku, przyczyniając się do powstawania kolejnych mutantów, takich jak Matholch, Edeyrn czy Medea.

Kiedy zabijesz Llyra, urządzenia te przestaną pracować. Klątwa anormalnych mutacji zostanie zdjęta, a widmo ciemności nad planetą zniknie.

- Jak mam Go zabić? - spytałem.

- Za pomocą Miecza Zwanego Llyrem. Jego życie związane jest nierozdzielnie z tym Mieczem, na zasadzie maszyny uzależnionej od poszczególnych części. Nie znam dokładnie powodu, ale Llyr nie jest już istotą ludzką, Ganelonie. To częściowo maszyna, częściowo czysta energia, a częściowo coś niepojętego. Narodził się jednak z ciała i musi albo zachować łączność z Krainą Mroku, albo umrzeć. Kontakt odbywa się za pośrednictwem Miecza.

- Gdzie jest ten Miecz?

- W Caer Llyr. Pójdź tam. Przy ołtarzu znajdziesz kryształową szybę. Przypominasz sobie?

- Tak, pamiętam.

- Rozbij ją, a zdobędziesz Miecz Zwany Llyrem.

Starzec oparł się wygodnie. Zamknął oczy, ale po chwili znów je otworzył.

Kiedy przed nim uklęknąłem, uczynił nade mną Pradawny Znak.

- To dziwne - wyszeptał na wprost do siebie. - Dziwne, że znów muszę wysłać kogoś do walki, tak jak dawno temu wyprawiałem wielu ludzi do boju.

Siwa głowa pochyliła się do przodu. Biała jak śnieg broda spoczęła na śnieżnobiałej szacie.

- Przez wzgląd na tamten wiatr, który wieje od Irlandii - wyszeptał starzec.

Przez otwarte okna wleciał podmuch powietrza, targając lekko skręcone w loki włosy i brodę Ghasta Rhymiego.

Wichry Krainy Mroku zakłóciły spokój komnaty. Po chwili ucichły i odleciały.

Teraz naprawdę zostałem sam...

Opuściłem komnatę Ghasta Rhymiego i zszedłem z wieży schodami aż na dziedziniec.

Bitwa była już prawie skończona. Trzymało się jeszcze zaledwie ze dwudziestu obrońców Zamku. Wokół nich szalała rozwrzeszczana gromada Lorryna. Doborowi strażnicy w ponurym milczeniu, ramię w ramię wymachiwali mieczami, jak gdyby zastawiali stalowe sidła, w których każdej chwili mogli osaczyć napastników.

Nie było czasu do stracenia. Dostrzegłem ściągniętą bliznami twarz Lorryna i ruszyłem w

jego kierunku. Odsłonił zęby w zwycięskim uśmiechu.

- Mamy ich, Bond.

- Zajęło ci to sporo czasu - stwierdziłem. - Trzeba szybko pozabijać te psy! - Mówiąc to chwyciłem miecz od stojącego w pobliżu leśnego człowieka.

Z ostrza tryskała energia, która spłynęła do rękojeści, a stamtąd we mnie.

Rzuciłem się w wir walki. Leśni ludzie torowali mi drogę. Tuż obok Lorryn śmiał się cicho.

Nagle stanąłem twarzą w twarz ze strażnikiem, który unosił już w górę ostrze broni gotowe do pchnięcia i odparowania ciosu. Zrobiłem unik. Miecz strażnika świsnął nieszkodliwie, przecinając powietrze. Szpic mojego ostrza jak ugodzony wąż skoczył wprost do jego gardła. W chwili zadania ciosu stal zgrzytnęła o kość przeciwnika, szarpiąc mi rękę w nadgarstku.

Energicznym ruchem wyciągnąłem broń z ciała i spojrzałem przelotnie na Lorryna, który wciąż roześmiany wdał się w walkę z następnym strażnikiem.

- Zabij ich! - krzyknąłem. - Pozabijaj ich!

Nie czekałem na odzew. Ruszyłem naprzód przepiwno zaślepionym żołnierzom Medei, tnąc i waląc na prawo i na lewo. Dźgałem ich, jakby byli moimi wrogami ze Zgromadzenia. Nienawidziłem każdej z tych tępo patrzących twarzy. Zaczynały wzbierać we mnie fale żądnej krwi gniewu. Przesłaniały mi wzrok i zaciemniały umysł jak gorąca mgła.

Przez chwilę byłem pijany żądzą zabijania.

Lorryn chwycił mnie za ramiona i krzyczał - Bond! Bond!

Mgła rozwiała się. Rozejrzałem się wokół. Ani jeden strażnik nie pozostał żywy. Na szarym bruku dziedzińca leżały rozciągnięte krwawiące, posiekane trupy. Leśni ludzie, ciężko dysząc, wycierali ostrza swoich mieczy.

- Czy ktoś się przedostał, żeby ostrzec tamtych w Caer Se-caire? - spytałem.

- Nie jestem pewien. - Lorryn wyglądał na zakłopotanego, pomimo wciąż obecnego na ściągniętej bliznami twarzy uśmiechu. - Nie sądzę, chociaż tyle tu różnych przejść jak w norach króliczych.

- Wobec tego stało się najgorsze - powiedziałem. - Nie mieliśmy aż tylu ludzi, żeby otoczyć kordonem cały Zamek.

- Ostrzeżeni czy nie, co to za różnica - skrzywił się Lorryn. - Możemy zniszczyć Zgromadzenie tak samo, jak wymordowaliśmy ich strażę.

- Jedziemy do Caer Llyr - oznajmiłem, przyglądając się Lorrynowi.

W jego zimnych szarych oczach dostrzegłem cień strachu. Skubał swoją siwą brodę i patrzył spode łba.

- Nie rozumiem. Dlaczego? - spytał.

- Żeby zabić Llyra.

Na twarzy Lorryna osłupienie walczyło z odwiecznym, zabobonnym, panicznym strachem. Szukał mojego wzroku, z którego najwyraźniej odczytał żadaną odpowiedź.

- Zabić... tego...? Przytaknąłem skinieniem głowy.

- Widziałem się z Ghastem Rhymim, który powiedział mi, jak to zrobić.

Otoczający nas ludzie przyglądali się i słuchali. Lorryn się wahał.

- O czymś takim w ogóle nie było mowy - powiedział. - Na bogów! Śmierć Llyrowi!

Nagle ruszył do dzieła, wykrzykując rozkazy. Miecze schowano do pochew. Biegano, rozpętywano konie. Po kilku minutach siedzieliśmy już w siodłach i opuszczali dziedziniec. Głęboki cień Zamku padał na nas aż do chwili, kiedy nad najwyższą wieżą wbił się księżyc.

Uniosłem się w strzemionach i odwróciłem głowę. Tam na górze został martwy Ghast Rhymi, który jako pierwszy ze Zgromadzenia zginął z mojej ręki. Zabiłem go tak samo skutecznie, jakbym pchnął go mieczem w serce.

Opadłem z powrotem na siodło, przyciskając pięty do boków konia. Mój wierzchowiec pomknął naprzód. Lorryn popędzał swojego rumaka, żeby zrównać się ze mną. Kiedy galopowaliśmy przez niewielkie wzniesienia w kierunku odległych gór, za nami rozciągał się długi, nierówny szereg leśnych ludzi. Zanim dotrzemy do Caer Llyr, zacznie już świtać. Nie mieliśmy ani chwili czasu do stracenia.

Medea, Edeyrn, Matholch. Te trzy imiona dźwięczały mi w mózgu jak przytłumione bicie bębnow. Zdrajcy. Medea taka sama jak tamci. Czyż nie ugięła się przed wolą Edeyrn i Matholcha, czyż nie chciała, aby złożono mnie w ofierze? Edeyrn i wilkołaka posłę na śmierć. Medei może daruję życie, ale wyłącznie jako mojej niewolnicy.

Po śmierci Ghasta Rhymiego zostałem Przywódcą Zgromadzenia. W wieży starca niemal zgubiłaby mnie moja skłonność do sentymentalizmu. To chyba słabość Edwarda Bonda. Obecność jego pamięci osłabiła moją wolę i nadwałtliła siły.

Teraz tamta pamięć nie była mi już potrzebna. Miałem zawieszoną u boku Kryształową Maskę i Czarodziejską Różdżkę. I wiedziałem, jak zdobyć Miecz Zwany Llyrem. To Ganelon, a nie słabeusz Edward Bond uczyni siebie panem Krainy Mroku.

Przez moment zastanawiałem się, gdzie może być teraz Bond. Kiedy Medea przeprowadziła mnie przez Ogień Klęski do Krainy Mroku, Edward Bond musiał w tej samej chwili wrócić na Ziemię. Zaśmiałem się szyderczo, wyobrażając sobie jego zdumienie. Możliwe, że usiłował i nadal próbuje przedostać się z powrotem do Krainy Mroku. Bez pomocy Freydis jego starania okażą się daremne. Ale Freydis pomagała teraz mnie, a nie Bondowi.

Bond pozostanie na Ziemi. Ponowna zamiana nigdy więcej już nie nastąpi, jeżeli ma to zależeć ode mnie. A przecież ma. Potężna Freydis mogłaby mieć na to wpływ, ale czy zdołałaby sprzeciwić się człowiekowi, który zabił Llyra? Nie sadzę.

Ukradkiem spojrzałem z ukosa na Lorryna. Głupiec z niego. Druga z tej samej gliny - to

Arles. Tylko Freydis miała na tyle rozumu, żeby mi nie ufać.

Mój najgroźniejszy wróg - Llyr - musi umrzeć pierwszy. Potem Zgromadzenie. Następni, którzy zasmakują mojej potęgi, będą leśni ludzie. Dowiedzą się, że jestem Ganelonem, a nie pochodzącym z Ziemi cherlawym Edwardem Bondem.

Pamięć Bonda wyrzuciłem już ze świadomości. Przepędziłem ją. Pozbyłem się jej do końca.

Pokonam Llyra jako Ganelon.

I jako Ganelon będę rządził Krainą Mroku!

Rządził - ogniem i mieczem!

Rozdział 14

Ogień życia

Widzieliśmy Caer Llyr na wiele godzin przed dotarciem na miejsce. Na początku wyglądało to jak jakaś najczarniejsza czerń na tle nocnego nieba. W miarę jak rozlewał się za nimi różowoszary świt, z czerni wynurzyła się góra przybierając powoli, stopniowo jeszcze ciemniejszą barwę hebanu.

Przed nami kładły się cienie galopujących jeźdźców, rozdeptywane natychmiast kopytami koni. Chłodny, orzeźwiający wiatr szeptał o składaniu ofiar w Caer Secaire, o błakających się świadomościach, które przeszukują okolicę.

Przed nami na krańcu ciemności majaczył Caer Llyr, strzegąc nocy.

Był potężny i obcy. Robił wrażenie bezkształtnej masy, gigantycznego kopca, usypiska czarnych głazów porzrzucanych jakby przypadkowo, ale tworzących całość. Wiedziałem jednak, że ta przedziwna geometryczna konstrukcja była czymś zamierzonym.

Dwie piętnastometrowe czarne jak węgiel kolumny stały niczym nogi olbrzyma, tworząc monumentalny niestrzeżony portal. Z całego Caer tylko tam dostrzec było można odrobinę barw.

Pobłyskując migotliwie kolorami tęczy, świeciła... jakby zawieszona nad progiem kotara. Opalizująca zasłona-widmo mieniła się i kołysała drżąc jak fałdy cieniutkiego niczym pajęczyna jedwabiu, przez które przelatuje łagodny wietrzyk.

Zasłona miała piętnaście metrów wysokości i sześć szerokości. Po obu jej stronach wyrastały hebanowe kolumny. W górze ponad nami, wznosząc się aż do pochmurnego o świcie nieba, tak wysoko, że zapierało dech, mieścił się Caer. Budowla przypominała szczyt górski i nie była dziełem rąk ludzkich.

Z Caer Llyr dolatywał lodowaty powiew strachu, sprawiając, że leśni ludzie rozpierzchali

się jak liście pędzące na wietrze przed burzą. Występowali z szeregów, rozbiegali się, by utworzyć je z powrotem, kiedy uniosłem w górę rękę, a Lorryn wydawał rozkaz.

Rozejrzałem się po otaczających nas niewysokich wzgórzach.

- Ani ja, ani mój ojciec nie pamiętamy, żeby ktokolwiek zbliżył się kiedyś do Caer na tak niewielką odległość - powiedział Lorryn. - Nie licząc, oczywiście, Zgromadzenia. Leśni ludzie nie usłuchają mnie teraz, Bond. Pójdą za tobą.

Tylko jak długo będą mi posłuszni? Kiedy o tym pomyślałem, któryś z leśnych ludzi wydał ostrzegawczy krzyk. Następnie uniósł się w strzemionach, wskazując na południe.

Wzgórzami w tumanach kurzu zbliżali się jeźdźcy, pędząc jak demony. Zbroja błyszczała im w promieniach czerwonego słońca.

- Ktoś musiał wydostać się z Zamku - wycedziłem przez zęby. - I Zgromadzenie zostało ostrzeżone!

- Wszystkich nie uprzedzono. - Lorryn roześmiał się i wzruszył ramionami.

- Wystarczy, żeby nas powstrzymać. - Zmarszczyłem brwi, starając się ułożyć jak najlepszy plan działania. - Lorryn, skończ z nimi. Jeżeli Zgromadzenie jedzie razem ze swoją gwardią, ich również zabij. Tylko nie pozwól im dotrzeć do Caer, dopóki...

- Dopóki co?

- Sam nie wiem. Będę potrzebował czasu. Ile, nie potrafię powiedzieć. Walka z Llyrem i zwycięstwo nad nim - to nie zadanie na krótką chwilę.

- I nie dla jednego człowieka - dodał Lorryn z niedowierzaniem. - Mając nas do pomocy, będziesz bliższy zwycięstwa.

- Znam broń przeciwko Llyrowi - powiedziałem. - Może nią władać jeden człowiek. Powstrzymaj tylko gwardię i Zgromadzenie. Daj mi czas.

- Z tym nie będzie problemu - stwierdził Lorryn z błyskiem podniecenia rozpalającego mu oczy. - Lepiej spójrz! - krzyknął.

W polu widzenia ukazywały się postacie w zieleni, jedna za drugą. Spinając ostrogami konie, jechały zygzakiem przez wzgórze, trop w trop za gromadą zbrojnych jeźdźców.

To pozostawione w dolinie kobiety leśnych ludzi. Były uzbrojone. Zauważyłem ich pobłyskujące miecze, które nie stanowiły zresztą jedynej broni, jaką miały. Nagle rozległ się przeraźliwy huk i w kłębach dymu jeden ze strażników, wyrzucając gwałtownie w górę rękę, runął z konia na ziemię.

Edward Bond wiedział, jak należy robić karabiny, a leśny lud nauczył się nimi posługiwać.

Na czele leśnych kobiet dostrzegłem dwie gibkie sylwetki. Jedna z nich to smukła, giętka dziewczyna, której popielatoblond włosy powiewały na wietrze jak sztandar. Arles.

Obok niej, na olbrzymim białym rumaku pędziła gigantyczna postać, której nie

pomyliłbym z nikim pomimo odległości. To Freydis, która spinała konia ostrogami jak galopująca do boju walkiria.

Freydis i Arles na czele leśnych kobiet.

- Mamy ich, Bond! - krzyczał Lorryn, ściskając w rękach wodze. Śmiał się, szalejąc z radości. - Nasze kobiety będą deptać im po piętach, a my uderzymy z boku. Weźmiemy ich w dwa ognie i zmiażdżymy. Daliby bogowie, żeby jechał tam również wilkołak.

- Ruszaj. Dosyć gadania - warknąłem. - Jedź i rozetrzyj ich na miazgę. Nie pozwól im dotrzeć do Caer.

Powiedziawszy to, spałem swojego rumaka i pochyłony nisko tuż nad jego grzywą gnałem prosto jak strzała w kierunku czarnej góry. Czy Lorryn zdawał sobie sprawę, że misja, którą mu powierzyłem, może okazać się samobójstwem? Matholcha byłby w stanie zabić, Medeę może też. Ale jeżeli razem z gwardią Zgromadzenia jechała Edeyrn, jeżeli zrzuciła z głowy kaptur, żaden miecz, żadna kula nie uratuje leśnych ludzi.

Pomimo wszystko zyskam trochę na czasie. Jeżeli szeregi leśnych ludzi przerzedzą się, im później to nastąpi, tym lepiej dla mnie. Edeyrn zajmę się po mojemu w odpowiednim momencie.

Przed sobą miałem czarne kolumny, z tyłu - narastające wrzaski i huk wystrzałów. Obejrzałem się, ale pofalowane wzgórza zakrywały mi pole walki.

Zeskoczyłem z konia i stanąłem przed kolumnami. Kiedy wszedłem pomiędzy nie, błyszcząca zasłona zaiskrzyła się i przepłynęła przede mną jak mętna woda. W górze, nieprawdopodobnie wysoko znajdował się Caer - siedlisko zła rozprzestrzeniającego się na całą Krainę Mroku.

W nim miał swoją siedzibę Llyr - mój wróg.

Nie rozstawałem się z mieczem, który zabrałem jednemu z leśnych ludzi. Wątpiłem jednak, żeby zwyczajne stalowe ostrze przydało się na coś w Caer. Pomimo wszystko, nim zrobiłem krok do przodu, upewniłem się, że mam przy sobie broń.

Przedostałem się przez zasłonę.

Posuwałem się naprzód w kompletnych ciemnościach. Kiedy zrobiłem dwadzieścia kroków, zapanowała jasność.

To światło podobne było do blasku, który odbija się od pokrytej śniegiem równiny, tak jasne i lśniące, aż oślepiało. Zamarłem w bezruchu i czekałem. Po chwili oślepiający blask przeszedł w migoczące drobinki światła, które układały się w pędzące lotem błyskawicy fantastyczne wzory. Nie płynął z nich chłód; przeciwnie, były we mnie gorącym żarem.

Świejące drobinki gnały wprost na mnie. Piekły w twarz i w ręce. W niepojęty sposób przenikały przez ubranie i wchłaniały się przez skórę. Jednak nie usypiały mnie. Przeciwnie, moje ciało spijało zachłannie energię płynącą z tej niesamowitej nawałnicy, stając się coraz bardziej pobudzone.

Fala energii życiowej huczała coraz mocniej w moich żyłach. Na tle bieli dostrzegłem trzy szare cienie - dwa wysokie i jeden niski, wąski, jakby odbicie sylwetki dziecka. Rozpoznałem te cienie i wiedziałem, czyje są.

- Zabij go. Zabij go teraz - usłyszałem głos Matholcha.

- Nie. On nie może zginąć. Nie powinien - padła odpowiedź Medei.

- Ależ musi! - warknął Matholch.

- On jest niebezpieczny. Musi umrzeć - piskliwy, bezpłciowy głosik Edeyrn powtórzył jak echo. - Powinno się go zabić. Można go uśmiercić tylko na ołtarzu Llyra. Jest przecież napiętnowany przez niego.

- On nie powinien zginąć - Medea powtórzyła z uporem. - Jeżeli uczyni się go nieszkodliwym i bezbronnym, to może żyć.

- Jak to zrobić? - spytała Edeyrn. Szkarłatna czarodziejka, zamiast odpowiedzieć, zrobiła krok naprzód, wydostając się z oślepiająco błyszczącej bieli.

Widmo przestało istnieć. Zniknęła dwumetrowa szarość. Przede mną stanęła Medea - czarodziejka z Kolchidy.

Jej ciemne włosy spływały do kolan. Spoglądała na mnie z ukosa tajemniczym wzrokiem. Była nikczemna i powabna jak Lilith.

Opuściłem dłoń na rękojeść miecza. I na tym koniec. Nie mogłem zrobić żadnego ruchu. Pędzące lotem błyskawicy świetliste drobinki krążyły coraz szybciej, wirowały naokoło i wnikały podstępnie w moje ciało.

Nie byłem w stanie się poruszyć.

Za Medea nachylały się jeszcze dwa widma.

- Powstrzymuje go moc Llyra - wyszeptała Edeyrn. - Ale Ganelon jest potężny, Medeo. Jeżeli zrzuci pęta, będziemy zgubieni.

- Do tego czasu pozostanie bezbronna - powiedziała Medea, uśmiechając się do mnie.

Teraz naprawdę zdałem sobie sprawę z zagrożenia. Mogłem przecież z łatwością przekłuć delikatne gardło Medei ostrzem swego miecza i szczerze żałowałem, że tak się nie stało już dawno. Przypomniałem sobie o mocy Medei, o mutacji, która odróżniała ją od innych. Sprawiała, że nazywano ją wampirem.

Przypomniałem sobie jak wyglądały jej ofiary - otumanieni strażnicy, niewolnicy z Zamku, puste ludzkie skorupy, chodzący umarli całkowicie pozbawieni duszy, a w większości także powłoki cielesnej.

Medea niepostrzeżenie zarzuciła mi rękę na szyję. Jej usta zbliżyły się do moich ust.

Szkarłatna czarodziejka trzymała w dłoni czarną różdżkę. Dotknęła nią mojej głowy. Skóra ścierpła mi od przechodzącego przez czaszkę łagodnego wstrząsu, który nie był wcale

przykry. Tak działał... przewodnik. Kiedy zdałem sobie sprawę z absurdalności tego rodzaju oręża, targnął mną gwałtowny wybuch szaleńczego śmiechu.

Nie było w tym żadnych czarów. To tylko wiedza, wysokiej klasy umiejętność, wtajemniczenie możliwe do osiągnięcia wyłącznie przez tych, którzy albo zostali specjalnie przeszkoleni, albo byli mutantami. Medea czerpała energię wcale nie za pomocą czarów. Zbyt często widywałem tę paleczkę w użyciu, żeby wierzyć w magię.

Różdżka otwierała zamknięty obieg myśli, docierając do ich energii. Podłączała się do mózgu na takiej samej zasadzie jak miedziany drut, którym można odprowadzić wytworzony prąd.

Powodowała przepływ sił witalnych do Medei.

Mgiełki świecących drobinek kłębiły się coraz szybciej. Krążyły naokoło, przyoblekając nas jakby w wirujący płaszcz. Z Edeyrn i Matholcha opadła szara cienistość. Ubrana w ciemną szatę, zakapturzona karlica i chudy, szczerzący zęby wilkołak stali razem i przyglądali się.

Nie widziałem twarzy Edeyrn, chociaż spod kaptura wypełzał śmiertelny ziąb niczym lodowaty wiatr. Matholch wysuwał język, wodząc nim naokoło ust. Oczy błyszczały mu na znak zwycięskiej radości i podniecenia.

Mną natomiast zawładnęła paralizująca letargiczna ospałość. Kiedy usta Medei stawały się coraz bardziej rozpalone i namiętne, moje były zimne jak lód. Rozpaczliwie próbowałem zrobić jakiś ruch, chwycić za rękojeść miecza, ale nie mogłem.

Teraz świecąca zasłona znów stała się bardziej przezroczysta. Za Matholchem i Edeyrn rozciągała się rozległa przestrzeń, tak ogromna, że nie dało się przeniknąć wzrokiem jej sinej głębi. Nieskończenie wysoko w górę prowadziły schody.

Daleko nade mną płonęła złocista jasność.

Za Matholchem i Edeyrn znajdował się przechylony trochę na jedną stronę przedziwnie rzeźbiony postument, którego front stanowiła pojedyncza szyba z przezroczystego szkła. Świeciła jednostajnym, zimnym, niebieskim światłem. Nie wiedziałem, co było ukryte za tą kryształową płytą, ale ją rozpoznałem.

Mówił o niej Ghast Rhymi. Powinien leżeć tam Miecz Zwany Llyrem.

Dobiegł do mnie ledwo słyszalny, zduszony śmiech uradowanego Matholcha.

- Ganelonie, mój kochany, nie walcz ze mną - wyszeptała Medea. - Tylko ja mogę cię ocalić. Kiedy minie twoje otumanienie, wrócimy do Zamku.

Tak, wtedy nie będę już groźny, a Matholch poniecha mnie bez szkody dla siebie. Jako bezmyślna, pozbawiona duszy istota wrócę do Zamku Zgromadzenia w charakterze niewolnika Medei.

Ja, Ganelon, naznaczony przez Llyra dziedziczny Władca Zgromadzenia.

Wysoko w górze rozświecała się złocista jasność. Pędziły stamtąd zygzaki błyskawic i

znikały w sinym mroku.

Przekonałem się na własne oczy, że to złociste światło stanowiło Okno Llyra.

Moja świadomość wybiegła naprzód w jego stronę.

Dusza podążała tam ze wszystkich sił.

Bez względu na to, kim była Medea - wiedźmą, mutantką--wampirem czy czarodziejką, nigdy nie została naznaczona przez Llyra. W jej krwi nie pulsowały żadne utajone ciemne moce, które płynęły w moich żyłach. Dobrze wiedziałem, że bez względu na to, jak bardzo odżegnywałem się od posłuszeństwa

Llyrowi, wciąż istniała między nami więź. Llyr miał nade mną władzę, ale ja również mogłem przyciągać jego moc.

I robiłem to właśnie teraz.

Okno zajaśniało. Znow strzelały z niego rozwidlone błyskawice i zaraz potem znikaly. Skądś dochodził przytłumiony pomruk ciężkich uderzeń w bębny, jakby wybijających puls Llyra.

Jak gdyby serce Llyra przebudzało się ze snu.

Wdzierająca się nagle moc wyrywała moje ciało z letargu. Przyciągałem do siebie moc Llyra, nie zważając na skutki. Na twarzy Matholcha dostrzegłem nagły błysk strachu. Zauważyłem także szybki ruch ręki Edeyrn.

- Medeo - zwróciła się do niej karlica.

Szkarłatna czarodziejka odczuwała już pobudzenie. A ja czułem jej drżące konwulsyjnie ciało. Przywarła do mnie zachłannie, coraz to szybciej spijając energię, która dawała mi życie.

Energia Llyra sphywała jednak we mnie. Tam w górze na bezkresnych przestrzeniach rozlegały się głuche grzmoty. Ze Złotego Okna buchał oślepiający blask. Iskrzące się wokół drobinki świetlne bladły, stawały się coraz mniejsze i znikaly.

- Zabij go! - zawył Matholch. - On dierzy Llyra! Wilkołak wyprężył się do skoku.

Skądś wyłoniła się nagle utykająca, zakrwawiona postać w pogiętej zbroi. Trzymała w ręku obnażony miecz, czerwony od krwi aż po rękojeść. Miałem przed sobą ściągniętą bliznami, wykrzywioną twarz Lorryna, osłupiałego na widok tej dramatycznej sceny.

Zobaczył mnie z Medea, która obejmowała mnie za szyję.

Zobaczył również Edeyrn.

Wreszcie spojrział na Matholcha.

Z gardła Lorryna wyrwał się niezrozumiały, nieartykułowany dźwięk. Podniósł miecz wysoko do góry.

Kiedy wyrwałem się z objęć Medei, odrzucając ją tak silnie, że aż się zatoczyła,

zauważyłem w górze magiczną paleczkę Matholcha. Sięgnąłem po swoją różdżkę, lecz okazało się to niepotrzebne.

Rozległ się już świst miecza Lorryna. Ściskająca magiczną paleczkę dłoń Matholcha została odrąbana w nadgarstku. Z poprzecinanych tętnic tryskała krew.

Wilkołak padł z wyciem na ziemię. Zaczęła się transformacja. Hipnoza, mutacja, czarna magia - nie potrafiłem powiedzieć, co to było. Stwór, który skoczył Lorrynowi do gardła, nie był istotą ludzką.

Lorryn śmiał się. Odrzucił miecz, który zawirował jak bąk.

Wyężając wszystkie siły, odparł atak wilkołaka, chwytając stwora za gardło i za nogę. Przed Lorrynem kłapały ziejące złością szczęki pełne kłów.

Dźwignął potwora nad głowę. Stawy trzeszczały mu napięte nadludzkim wysiłkiem. Lorryn stał tak przez chwilę, trzymając swego przeciwnika w górze, podczas gdy wilcza paszcza warczała, starając się rozedrzeć go za wszelką cenę.

Nagle Lorryn cisnął wilka na kamienie.

Usłyszałem trzask kości podobny do łamiących się spróchniałych gałęzi. Słyszałem ryk konania, straszny krzyk agonii wydobywający się z rozdziawionej paszczy, z której lała się krew.

Po chwili, wijąc się, leżał u naszych stóp Matholch już w swej własnej postaci - pokonany i konający.

Rozdział 15

Siedlisko mocy

W jakiś nadzwyczajny sposób ustąpiła tamta zniewalająca mnie bezsilność. Po całym moim ciele rozlała się moc Llyra. Wydobyłem miecz z pochwy i zacząłem biec. Minąłem martwe ciało Matholcha, nie zwracając uwagi na Lorryna, który stał nieruchomo i wpatrywał się w nie. Popędziłem wprost do postumentu ze świecącą na niebiesko szybą.

Mocno ścisnąłem w dłoni ostrze miecza i silnym uderzeniem rękojeści rozbilem szkło.

Rozległ się brzęk przypominający tony pizzicata i piskliwy śmiech chochlika. Odlamki szkła, podzwaniając, rozsypały mi się pod nogi.

Również wprost pod nogi spadł mi kryształowy miecz. Miał prawie półtora metra. Rękojeść, garda i ostrze wykonane były z najczystszej kryształowej kruszyny.

Miecz stanowił część szyby. Rozbity postument był w środku pusty. Wmontowana w szybę kryształowa broń uwolniła się z zamaskowanej kryjówki w momencie, kiedy stłukłem szkło.

Wzdłuż gładkiego ostrza biegła smuga niebieskiego światła. Wewnątrz kryształu paliły się nikle, błękitne ogniki. Schyliłem się, by podnieść miecz. Rękojeść była ciepła i jakby żywa.

Stałem teraz wyprostowany, trzymając w lewej dłoni kryształowy Miecz Zwany Llyrem, a w prawej broń o stalowym ostrzu.

Wokół mnie powiało przeraźliwym chłodem.

Znałem ten ziąb i dlatego się nie odwracałem. Wsunąłem pod pachę stalowy miecz, zza pasa wydobylem Kryształową Maskę i nałożyłem ją. Wyciągnąłem również Magiczną Różdżkę.

Dopiero wtedy się odwróciłem.

Przez Maskę przenikały przedziwne, zmieniające kierunek migotliwe promienie, które zniekształcały obraz. Maską w osobliwy sposób przeobrażała właściwości światła. Służyło to konkretnemu celowi - stanowiła filtr.

Matholch nie dawał już znaku życia. Zza trupa podnosiła się Medea. Jej ciemne włosy były w nieładzie. Przodem do mnie stał Lorryn - niewzruszony jak głaz. W jego kamiennej bladej twarzy żyły tylko oczy.

Patrzył na Edeyrn, która stała do mnie tyłem. Widziałem tylko jej ciemną, gładką głowę. Kaptur miała opuszczony na ramiona.

Nagle Lorryn zaczął osuwać się na ziemię. Życie uchodziło z niego. Opadł jak worek, jak gdyby nie miał kości.

Leżał martwy.

Po chwili bardzo powoli odwróciła się Edeyrn.

Była malutka jak dziecko. Równie dziecinnie wyglądała jej twarz, niedojrzała i okrągła. Nie widziałem jej prawdziwego oblicza, ponieważ nawet przez Kryształową Maskę przenikało piorunujące spojrzenie Gorgony.

Zastygła we mnie krew. Do mózgu wkradła się powolna, lodowata fala, pogrążając mnie w nie dającym się przewyciężyć letargu. Popadłem w stan obojętnego wyczekiwania.

Tylko w oczach Gorgony płonął ogień.

Wysyłały zabójcze promienie, nazywane przez naukowców z Ziemi promieniami ektogenetycznymi, występującymi, jak dotąd, wyłącznie w świecie roślin. Tylko zwariowana mutacja, której tworem była Edeyrn, mogła uciec się do tak koszmarnego chwytu biologicznego niby z piekła rodem.

Pomimo wszystko nie padłem i nie umarłem. Promienie zostały przefiltrowane. Dzięki wibracyjno-odkształcającym właściwościom Maski, którą miałem na sobie, stały się nieszkodliwe.

Teraz podniosłem Magiczną Różdżkę.

Buchnęły z niej czerwone płomienie. Purpurowe, piękne języki ognia pomknęły w

kierunku Edeyrn.

Całe mnóstwo płomieni smagało ją jak barwiące na szkarłat uderzenia batem, przypiekając i pozostawiając krwawe pręgi na spokojnej dziecinnej twarzyczce mutantki.

Edeyrn cofnęła się, przesywając mnie wzrokiem jak laną.

Wraz z nią, krok po kroku wycofywała się Medea. Zmierzały w kierunku podnóża ogromnych schodów prowadzących do Okna Llyra.

Bicze ognia smagały Edeyrn po oczach.

Odwróciła się i potykając zaczęła wbiegać po schodach na górę. Medea przystanąła, podnosząc ręce w nie dokończonym geście. Z mojej twarzy nie mogła wyczytać litości.

Szkarłatna czarodziejka również się odwróciła i podążyła za Edeyrn.

Odrzuciłem bezużyteczny stalowy miecz. Z różdżką w lewej dłoni i Mieczem Zwanym Llyrem w prawej ruszyłem za nimi.

Kiedy postawiłem nogę na pierwszym stopniu, sinym powietrzem wstrząsnęła rozedrgana wibracja. Teraz prawie nie mogłem odżałować, że wezwalem Llyra, aby przerwać czary Medei. On przecież się przebudził, czuwał i był ostrzeżony.

Przez ogromny Caer waliło tętno Llyra. Wysoko w górze buchały z Okna złociste błyskawice.

Na tle bursztynowej luny ukazały się na chwilę dwie nieduże czarne sylwetki. To Edeyrn i Medea wspinały się coraz wyżej.

Za nimi szedłem ja. Z każdym następnym krokiem droga stawała się coraz cięższa. Miałem wrażenie, że posuwam się mętniejącym, niewidzialnym strumieniem podobnym do wiatru albo do fali, która sphywała w dół z rozświetlonego Okna, usiłując zwalić mnie z nóg i wyrwać ściskany w ręku kryształowy miecz.

Szedłem coraz wyżej i wyżej. Okno oślepiało teraz blaskiem żółtych płomieni. Błyskawice rozdierały nieprzerwanie przestrzeń, a ogłuszające grzmoty rozlegały się pod sklepieniem otchłani Caer. Pochyliłem się, jak gdybym chciał przeciwstawić się nawałnicy. Zawzięcie torowałem sobie drogę do góry.

Ktoś był za mną.

Nie odwróciłem się. Nie miałem odwagi. Bałem się, że ten rwący potok mnie porwie. Wczołgałem się jeszcze kilka stopni wyżej i wszedłem na poziomy kamienny podest w kształcie tarczy, na którym umieszczony był sześcian o boku trzech metrów. Z trzech stron stanowił czarną skalę, natomiast z boku zwróconego do mnie bił oślepiający blask bursztynowego światła.

Daleko w dole, zawrotnie daleko znajdowało się dno Caer. Schody biegły za mną w dół gdzieś w nieprawdopodobną otchłań. Wciąż wiał we mnie potężny wiatr od Okna, usiłując porwać mnie w swój wir na zatracenie.

Na lewo od Okna stała Edeyrn, z prawej strony - Medea. A w Oknie...

Rozświetlone złociste obłoki wirowały, gęstniały, wznosiły się i opadały jak mgły podczas burzy. Jednocześnie wciąż buchały z nich oślepiające błyskawice. Grzmoty nie milkły ani na chwilę. Uderzały miarowo. Walily i zamierały w niezmiennym rytmie, w zgodzie z biciem serca Llyra.

Potwór czy mutant? Niegdyś istota ludzka albo na pół ludzka. Llyr, który stał się jeszcze potężniejszy. Ghast Rhymi mnie ostrzegał.

Llyr - to częściowo maszyna, częściowo czysta energia, a częściowo coś niewyobrażalnego. Jego moc biła we mnie, przenikając na wskroś złociste obłoki.

Czarodziejska Różdżka wypadła mi z ręki. Uniosłem w górę kryształowy Miecz i zdołałem zrobić krok naprzód. Znów pochwyciła mnie piekielna fala i nie byłem już w stanie się ruszyć. Pozostała mi jedynie walka, zmaganie się wszystkimi siłami z nawałnicą, która robiła wszystko, żeby zepchnąć mnie na sam brzeg wiszącego pomostu.

Gromy stawały się coraz bardziej donośne. Błyskawice buchały jeszcze jaśniejszym płomieniem.

Nagle zmroziło mnie lodowate spojrzenie Edeyrn. Twarz Medei wyglądała teraz nieludzko. Z Okna wydobywały się skłębione żółte obłoki, chwytając Edeyrn i Medeę jak w objęcia.

Teraz przewalały się w moją stronę, aż mnie zagarnęły.

Ledwo mogłem dostrzec wyznaczającą Okno Llyra jaśniejszą poświatę, a w niej dwie mgliste sylwetki Edeyrn i Medei.

Usiłowałem zrobić krok do przodu, ale zniosło mnie z powrotem na krawędź pomostu, coraz bliżej i bliżej.

Olbrzymie ręce chwyciły mnie w pasie. Przed oczami mignął mi siwy warkocz. Między mną a otchłanią, jak żelazny mur, wyrosła gigantyczna, potężna Freydis.

Kątem oka zauważyłem, że miała głowę obwiązaną kawałkiem białej tkaniny oddartej ze swojej szaty. Zaslaniała się w ten sposób przed spojrzeniem Gorgony. Walkiria, kierując się jakimś przedziwnym instynktem, bez zastanowienia pchnęła mnie do przodu.

Walily na nas złociste obłoki, jakby wyczuwalne, dające się dotknąć, poprzecinane rozpalonymi do białości błyskawicami i wstrząsane potężnymi grzmotami.

Freydis walczyła w milczeniu. Wygięty w pałąk przebijałem się przez ten rwący potok.

Krok po kroku, z pomocą Freydis brnąłem naprzód. Ona wciąż była z tyłu za moimi plecami jak bastion. Słyszałem jej zdyszany oddech, wyrywające się z gardła potężne westchnienia, kiedy jednoczyła swe siły z moimi.

Czułem się tak, jak gdyby wbito mi w sam środek piersi rozpalone do białości żelazo. Pomimo to szedłem dalej. Teraz nie istniało już nic poza tą złocistą jasnością pośród chmur,

pośród obłoków stworzenia, odczuwających wstrząsy i zamęt rozrywanych kosmosów, druzgotanych z traskiem światów, jeden za drugim, a wszystko to z mocy Llyra...

Stałem przed Oknem.

Ręka bezwiednie podniosła się w górę. Poprowadziła Miecz Zwany Llyrem do Okna Llyra i rozbila je.

Miecz roztrzaskał mi się w dłoni.

Pod nogi rozsypały się pobrzękujące odłamki. Wokół potłuczonego ostrza wiły się i okręcały smugi błękitnego, migotliwego światła.

Po chwili zostały wessane do Okna.

Znów zaczęły gnać skłębione masy chmur. Caer rozerwała straszliwa, niemalże nie dająca się unieść, wibracja. Zatrzęsła nim jak młodym drzewem. Złociste obłoki zostały wciągnięte przez Okno, a wraz z nimi - Edeyrn i Medea.

Mignęły mi tylko przelotnie. Dostrzegłem wypalone moim ogniem, wyglądające jak krwawa maska piętno na oczach Edeyrn i zropaczoną przepelnioną niewyobrażalną zgrozą twarz Medei. Szkarłatna czarodziejka utkwiała we mnie wzrok, którym błagała o litość. Było w tym coś przerażającego. Po chwili obie zniknęły.

Przez moment widziałem wewnątrz Okna. Moim oczom ukazało się coś, co pozbawione było przestrzeni, czasu i wymiaru - wirujący, zgłodniały Chaos, który walił się na Medeę i Edeyrn. Wreszcie ujrzałem złote jądro światła, w którym rozpoznałem Llyra.

Chociaż był on kiedyś istotą niemalże ludzką, nie miał już w sobie żadnej cechy człowieka.

Miażdżące kamienie młyńskie Chaosu roztarty całe trójkę na miazgę.

Gromy umilkły.

Miałem przed sobą ołtarz Llyra, ale nie było już w nim Okna. Ze wszystkich czterech stron widniały tylko czarne, martwe glazy.

Rozdział 16

Sam przeciwko sobie

Ostatnim, co widziałem, nim pogrążyłem się w mroku zapomnienia rozpościerającym nade mną skrzydła, były ciemności i czarne glazy. Wydawało się, jakby wyłącznie zacięty opór Llyra utrzymywał mnie na nogach w ostatnich momentach naszych zażartych zmagania. Kiedy padł Llyr, padł również Ganelon u stóp pozbawionego Okna ołtarza.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo tam leżałem. Powoli, stopniowo Caer Llyr powracał do

mojej świadomości i wtedy zdałem sobie sprawę, że leżę rozpostarty na ołtarzu. Z trudem usiadłem, wciąż odczuwając resztki wyczerpania obezwładniającego moje ciało. Musiałem na chwilę zasnąć, ponieważ bezsilność nie wzbierała już we mnie tak obezwładniającą falą jak wtedy, kiedy upadłem.

Nade mną, na górze olbrzymiego urwiska schodów leżała na stopniach Freydis, na wpół wyprostowana, jak gdyby w chwili poprzedzającej upadek usiłowała jeszcze wrócić do swoich ludzi. Miała wciąż zawiązane oczy, a jej potężne ramiona rozrzucone były na boki na podeście. Podczas naszej zacieklej walki uszły z niej wszystkie siły. Na widok leżącej Freydis w mojej podwójnej świadomości pojawiło się wspomnienie pewnej postaci ziemskiej - kobiety równie potężnej, ubranej w białe szaty, z opaską na oczach i wzniesionymi w górę ramionami. Była nią ślepa Sprawiedliwość, dzierżąca niezmiennie swą wagę. Na myśl o tym lekko się uśmiechnąłem. W Krainie Mroku, która stała się teraz moim światem, uosobieniem Sprawiedliwości był Ganelon, a nie ślepiec.

Freydis poruszyła się. Podniosła niepewnie rękę do przepasanych oczu. Czekałem, aż oprzytomnieje. Wkrótce znów będziemy musieli walczyć - Sprawiedliwość i ja. Nie miałem wątpliwości, kto zwycięży.

Kiedy uklęknąłem, usłyszałem metaliczny brzęk, jak gdyby jakieś odłamki ześlizgiwały mi się z ramienia. To Maska musiała się potłuc w momencie upadku. Kryształowe bryłki leżały teraz pośród odłamków rozbitego Miecza, które godząc w Llyra zmiotły go z Krainy Mroku. Pomyślałem o tamtych przedziwnych niebieskich błyskawicach, które doprowadziły w końcu do zagłady Llyra - celu, jakiego dotąd w żaden sposób nie dawało się w Krainie Mroku osiągnąć. Chyba zrozumiałem wszystko.

Llyr przeniknął poza granice tego świata, przedostał się za daleko, żeby mieć z nim jeszcze styczność. Jedynie podczas obrzędów w Złotym Oknie następowała łączność. Kimkolwiek był - człowiekiem, demonem, bogiem, niewyobrażalnym mutantem - zachował tę jedną jedyną więź z Krainą Mroku, Krainą, która go zrodziła. Łącznik stanowił przechowywany jak relikwia Miecz Zwany Llyrem. Za sprawą tego talizmanu mógł Llyr wracać po ofiary, którymi się żywił, przybyć na rytualny obrzęd piętnowania, który sprawił, że na wpół należałem do niego. Wszystko to mogło się dziać wyłącznie dzięki talizmanowi.

Dlatego musiał on być ukryty w bezpiecznym miejscu, skoro miał stanowić dla Llyra gwarancję powrotu. I rzeczywiście był bezpiecznie ukryty. Bez wiedzy Ghasta Rhymiego nikt nie zdołałby go odnaleźć. Któż dotarłby na tyle blisko Okna, żeby roztrzaskać Miecz w ten jedyny w Krainie Mroku sposób, w jaki dało się go potłuc, gdyby nie moc Wielkiego Ganelona i potęga, tak, potęga Freydis? Llyr strzegł swej świętości tak dobrze, jak tylko to było możliwe. A jednak nie zabezpieczył się przed atakiem jedyne go człowieka, który potrafił władać Mieczem.

Kiedy rozbila się kryształowa broń, zerwany został pomost między światami. Llyra pochłonął Chaos, z którego nie ma odwrotu.

Medea - szkarłatna czarodziejka z Kolchidy, spijająca energię życiową utracona ukochana - również odeszła bezpowrotnie...

Zamknąłem na chwilę oczy.

- Jak tam, Ganelonie? - usłyszałem głos Freydis.

Spojrzałem w górę. Sędziwa kobieta uśmiechała się do mnie posepnie spod odsuniętej na czoło opaski. Wstałem, przyglądając się w milczeniu, jak podnosi się z miejsca. Potężne fale odorzającego ciepła przepływały przeze mnie na znak zwycięstwa. Świat, w którym właśnie się ocknąłem, należał teraz niepodzielnie do mnie. Ani ta kobieta, ani nikt inny nie pokrzyżuje już mojego losu. Czyż nie pokonałem Llyra, czyż nie zabiłem ostatniego ze Zgromadzenia? Czyż nie miałem w sobie silniejszej mocy magicznej niż wszyscy w Krainie Mroku? Wybuchnąłem śmiechem, który odbijał się jak echo od wysokich sklepień wokół nas, dudniąc wracał i rozbrzmiewał triumfalnie dopóty, dopóki tym krzykiem radości nie tchnął życia w Caer Llyr. Ale Llyra już tam nie było.

- Niech się stanie Caer Ganelon! - zawolałem, słysząc powracający dźwięk swego imienia, jak gdyby Zamek sam udzielił odpowiedzi.

- Ganelon! - krzyknąłem. - Caer Ganelon! - Śmiałem się, słysząc, jak cała bezkresna pustka powtarza moje imię. Echo wciąż dudniło, kiedy przemawiałem do Freydis.

- Macie nowego pana, wy, leśni ludzie! Ponieważ pomogłaś mi, wynagrodzę to ci, sędziwa kobieto. To ja jestem panem Krainy Mroku, ja, Ganelon! - Mury, grzmiąc, odpowiedziały tym samym "Ganelon... Ganelon!"

Freydis uśmiechnęła się.

- Nie tak szybko - powiedziała ze spokojem. - Naprawdę sądziłeś, że ja ci ufam?

- Co możesz mi teraz zrobić? - obdarzyłem ją szyderczym uśmiechem. - Jedyne sam Llyr mógł mnie zabić. Tylko do dziś. Teraz nie żyje, a Ganelon jest nieśmiertelny. Nie ma w tobie takiej mocy, która mogłaby mnie dosięgnąć, więdźmo.

Stojąca na schodach Freydis wyprostowała się. Jej wiecznie młoda twarz była trochę niżej niż moja głowa. Oczy wyrażały pewność siebie, co wprawilo mnie w nagły niepokój jak pierwsze ukłucie bólu. Przecież prawdą było to, co powiedziałem - że nikt w Krainie Mroku nie jest w stanie wyrządzić mi teraz krzywdy. A jednak uśmiech Freydis pozostał niewzruszony.

- Kiedyś wysłałam cię przez otchłań do świata ziemskiego - powiedziała. - Czy zdołałbyś mnie powstrzymać, gdybym chciała posłać cię tam jeszcze raz?

Drzenie niepokoju przeszło w ulgę.

- Jutro lub pojutrze, owszem, potrafiłbym cię powstrzymać. Dzisiaj - nie. Ale teraz jestem Ganelonem i znam drogę powrotną. Ganelonem, którego ostrzeżono. Dlatego nie sądzę, żeby tak łatwo przyszło ci wysłać mnie znów w stronę Ziemi, ogołoczonego z pamięci i obleczonego w przeszłość innego człowieka. Wszystko pamiętam i mógłbym wrócić. Straciłabyś tylko i swój, i mój czas, Freydis. Ale spróbuj, jeżeli chcesz, tylko ostrzegam cię, że przybędę z powrotem, zanim jeszcze przestaną działać twoje czary.

Freydis nadal uśmiechała się spokojnie. Splotła ramiona, kryjąc dłonie w fałdach

rękawów. Była bardzo pewna siebie.

- Wydaje ci się, że jesteś bożkiem, Ganelonie - powiedziała. - Uważasz, że żadna siła cię teraz nie dosięgnie. Zapomniałeś o jednym. Również i ty masz jakąś słabość, tak jak mieli ją Llyr, Edeyrn, Medea czy Matholch. W tym świecie nie znajdziesz takiego człowieka, który by się z tobą zmierzył, ale na Ziemi jest ktoś taki, Lordzie Ganelonie! Tam żyje twój odpowiednik, którego zamierzam wezwać, żeby stoczył tę jedną ostatnią już walkę o wolność Krainy Mroku. Edward Bond może cię zabić, Ganelonie.

Poczułem, jak krew odpływa mi z twarzy i owiewa mnie lekki, lodowaty wietrzyk podobny do spojrzenia Edeyrn. Rzeczywiście zapomniałem. Nawet sam Llyr mógł przecież zginąć od własnej niepojętej broni. Ja również mogę zginąć w taki sam sposób albo z ręki mojego drugiego ja, którym jest Edward Bond.

- Głupia dzieciennia starucho! - wykrzyknąłem. - Czyżbyś zapomniała, że Bond i ja nigdy nie znajdą się w tym samym świecie? Kiedy przybyłem tutaj, on zniknął z tej ziemi; tak samo i ja musiałbym zniknąć, jeżeli sprowadziłabyś go z powrotem. Jak to możliwe, żeby człowiek i jego lustrzane odbicie kiedykolwiek stanęli twarzą w twarz? W jaki sposób on miałby mnie dosięgnąć, sędziwa kobieto?

- Bez trudu. - Freydis wciąż się uśmiechała. - Bardzo łatwo. Nie mógłby pokonać cię ani tutaj, ani na Ziemi. To prawda. Ale pozostaje jeszcze otchłań, Ganelonie. Czyżbyś o niej zapomniał?

Wyjęła dłonie z rękawów. W obu rękach trzymała oślepiająco srebrzyste różdżki. Nim zdołałem zrobić jakiś ruch, złączyła obie palczki, krzyżując je przed śmiejącą się twarzą. W punkcie przecięcia natychmiast buchnęły siły o straszliwej mocy. Tryskały z biegunów świata i jeżeli nie miały rozerwać go na kawałki, mogły stykać się nie dłużej niż przez mgnienie jednej sekundy. Poczułem, jak cała budowla zatrzęsała się pode mną.

Miałem wrażenie, że otwierają się wrota.

Wszędzie wokół panowała szarość, w której nie było widać nic, a człowiek zatracił się w niej niepomyślnie. Oszłomiła mnie nagłość doznanego szoku. W całym moim ciele wzbierała fala straszliwego gniewu na myśl o podstępie Freydis. Poddawanie Władcy Krainy Mroku sztuczkom magicznym było nie do zniesienia. Wywalczę sobie drogę powrotu, a zemsta, która dosięgnie Freydis, stanie się nauczka dla wszystkich.

Z szarości wynurzył się przede mną obraz. Czyżby lustrzane odbicie? Oszłomiony, nic nie rozumiejąc, nie wierząc własnym oczom, ujrzałem swoją twarz. Nie miałem na sobie tamtych obszarpanych błękitnych szat ofiarnych, w które zostałem przy-odziany tak dawno temu w Zamku Zgromadzenia. Wyglądałem jak Ziemianin. Nie byłem jednak podobny do siebie i wcale nie przypominałem Ganelona. Wyglądałem jak...

- Edward Bond - usłyszałem za sobą głos Freydis.

Moje odbicie spoglądało na mnie przez ramię, z widocznym wyrazem uznania i niewypowiedzianej ulgi.

- Freydis! - krzyknął moim głosem. - Dzięki Bogu, Freydis! Tak bardzo starałem się...

- Zaczekaj - przerwała mu. - Posłuchaj. Czeka cię jeszcze jedna, ostatnia już próba. Ten człowiek - to Ganelon. Zniweczył całe twoje dzieło, którego dokonałeś wśród leśnego ludu. Zabił Llyra i zniszczył Zgromadzenie. W Krainie Mroku nikt nie będzie w stanie mu się sprzeciwić, jeżeli zdoła do niej powrócić. Tylko ty możesz go powstrzymać, Edwardzie Bondzie. Wyłącznie ty.

Nie czekałem, co ona jeszcze powie. Wiedziałem, co trzeba robić. Rzuciłem się do przodu, zanim tamten zdążył się odezwać albo poruszyć, i wymierzyłem mu potężny cios w twarz, która mogła okazać się moją własną twarzą. Przedziwną rzeczą był taki czyn. To doprawdy ciężkie zadanie. W ostatniej chwili mięśnie prawie odmówiły mi posłuszeństwa - przecież to tak, jak gdybym uderzał siebie.

Kiedy zobaczyłem, jak tamten się zatoczył, również i mnie jakby zakręciło się w głowie. W rezultacie pierwszy cios wstrząsnął nami oboma.

Tamten odzyskał równowagę kilka metrów dalej i przez chwilę stał niepewnie na nogach, patrząc na mnie z zażenowaniem, które mogło stanowić odzwierciedlenie mojego wyrazu twarzy. Zdawałem sobie sprawę, że ja także czułem się nieswojo.

Wkrótce jednak obopólna reakcja świadcząca o zakłopotaniu zażegnana została przez nagłą wściekłość na widok krwi, która sączyła się tamtemu z kącików ust i ściekała po policzku. Śmiałem się bezlitośnie. Ta krew czyniła go tak czy inaczej moim wrogiem. Zbyt często widywałem krew przeciwników tryskającą wskutek moich ciosów, żeby wziąć go teraz za kogoś innego. Był przecież mną i zarazem moim śmiertelnym wrogiem.

Skulił się teraz i podchodził do mnie przygarbiony, osłaniający w ten sposób ciało przed moimi pięściami. Marzyłem usilnie, żeby mieć przy sobie miecz albo rewolwer. Nigdy nie przepadałem za wyrównaną walką, ponieważ Ganelon nie bije się dla sportu, ale po to, żeby zwyciężyć. Jednak ta walka musi być straszliwie, nieprawdopodobnie równa.

Uchylił się przed ciosem. Poczulem rozkołysane drganie jakby własnej pięści podskakującej na mojej kości policzkowej. Tamten odskoczył zwinnie na tak dużą odległość, że nie mogłem go dosięgnąć.

Niepohamowana wściekłość zaczynała ścisnąć mi gardło. Przecież nie chciałem takiego boksu czy rozgrywania walki zgodnej z przepisami. Ganelon bił się po to, żeby zwyciężyć. Wrzasnąłem na niego ile sił w płucach i rzuciłem się gwałtownie do przodu, miażdżąc go w uścisku. Zwarci ze sobą padliśmy w mroczną otchłań aż na jej gąbczaste dno. Z rozkoszą zatopiłem palce w jego gardle. Doprowadzony do szału bezlitośnie szukałem po omacku jego oczu. Z trudem wydawał z siebie jakieś pomruki. Nagle poczułem, jak walnął mnie pięścią między żebra. Przeszył mnie ostry, piekący ból trzaskającej kości.

Tak niepodzielnie on był mną, a ja nim, że przez chwilę nie miałem pewności, czyje żebro pękło i od czyjego ciosu. Wzięłem głęboki oddech i zachłystując się wypuściłem powietrze z powrotem, na wpół żywy. Ból rozchodził się po całym ciele jak promienie jasnego światła. Wiedziałem, że to było moje żebro.

Ta świadomość doprowadziła mnie do szału. Nie zważając na ból ani na swe obawy, na chybił trafił walilem w niego pięściami. Unosiła mnie prawdziwa radość, kiedy czulem, jak pod moimi palcami trzeszcza jego kości, a na moje mocno zaciśnięte dłonie tryska jego krew. Tam na dnie otchłani zmagaliśmy się obaj, zwarci potwornym uściskiem, w koszmarze pozbawionym jakiegokolwiek realności, z wyjątkiem bólu, który przeszywał mnie całego przy każdym oddechu.

Jednak wkrótce w jakiś niewytłumaczony sposób zdałem sobie sprawę, że to z całą pewnością ja nad nim panuję. Oto, jak do tego doszło. Tamten prawie przekościłkował, chcąc uderzyć mnie potężnie w twarz, ale zablokowałem cios, nim został wymierzony. Skądś znałem jego zamiary. Tamten wywinął się spode mnie, zbierając siły, by znów walnąć mnie w żebra, ale nim zdołał uderzyć, raz jeszcze zrobiłem unik. Tym razem również wiedziałem, co zamierza.

Przecież kiedyś byłem Edwardem Bondem, byłem nim w każdym najistotniejszym sensie. Żyłem w jego świecie, miałem jego pamięć. Znałem Edwarda Bonda równie dobrze, jak samego siebie. Instykt wskazywał mi, jaki będzie jego następny krok. Bond nie był w stanie przechytryć moich myśli i dlatego nie mógł liczyć na zwycięstwo nade mną, któremu każdy jego zamiar odsłaniał się, zanim jeszcze Bond zdołał przystąpić do działania.

Śmiałem się pomimo bólu złamanego żebra. Freydis padła wreszcie ofiarą własnych matactw. Przytłaczając Ganelona ziemską pamięcią Edwarda Bonda, umożliwiła mi teraz zwycięstwo nad nim. Bond był mój i mogłem skończyć z nim, kiedy tylko chciałem. Kraina Mroku także należała do mnie, królestwo wolnych ludzi Edwarda Bonda również było moje, podobnie jak i jego śliczna, jasnowłosa narzeczona, jak zresztą wszystko, co stanowiło jego własność.

Śmiałem się uniesiony radością, kiedy za pomocą trzech idealnie skoordynowanych w czasie ruchów powstrzymałem go, uzyskując przewagę nad człowiekiem, który był mną. Tylko trzy ruchy i już go miałem przełożonego przez kolano, naprężonego jak struna, z przyciśniętym mocno do mojego uda kręgosłupem.

Śmiałem się nad nim z pogardą. Moja krew płynęła w jego twarzy. Widziałem, jak tętni. Spojrzałem mu w oczy i zaraz potem poczułem przez chwilę krótką jak mgnienie przedziwną, nieodpartą tęsknotę za klęską. Modliłem się w milczeniu do bezimiennego boga, żeby Edward Bond zdołał jeszcze siebie ocalić i żeby umarł Ganelon.

Zebrałem w sobie absolutnie wszystkie siły. Otchłań zawirowała mi przed oczami cała w purpurze. Ból złamanego żebra przeszywał mnie jak rozpalona do białości świetlna włócznia, kiedy wciągnąłem głęboki oddech, który był ostatnim już tchnieniem Edwarda Bonda.

Skręciłem mu kark.

Rozdział 17

Nareszcie wolność

Nagle czyjeś chłodne gładkie dłonie mocno ucisnęły mi czoło. Kiedy spojrzałem w górę, przesunęły się niżej i zasłoniły mi oczy. Ogarnęło mnie spowijające jak całun uczucie bezsilności. Wciąż klęczałem, nie stawiając oporu. Czulem, jak ciało człowieka, który kiedyś był mną, osuwa się miękko z moich kolan.

Freydis przycisnęła mnie do ziemi. Teraz obaj byliśmy obok siebie - żywy i martwy.

Srebrzyste czarnoksięskie różdżki dotknęły mojej głowy, przerzucając pomost między Edwardem Bondem i Ganelonem. Przypomniałem sobie magiczną paleczkę Medei, zdolną do wysysania energii życiowej. Ogarnął mnie paraliżujący, zniewalający bezwład. Wywołujące mrowienie drgania działały łagodnie na moje nerwy jak fale, które marszczą wodę. Nie byłem w stanie zrobić żadnego ruchu.

Przeszył mnie nagły, rozdzierający ból. Moje plecy! W dzikim szale śmiertelnych męczarni chciałem zacząć krzyczeć, ale głos uwiązł mi w gardle. Cierpiałem ból z ran Edwarda Bonda.

W tamtej koszmarnej chwili, kiedy mój wirujący mózg mknął bezkresnymi labiryntami wiedzy przekraczającej wiedzę ludzką, uświadomiłem sobie, czego dokonała Freydis i co czyniła teraz.

Czulem, jak świadomość Edwarda Bonda powraca z otchłani. Obok siebie leżały nie tylko nasze ciała, stykały się również dusze. Panowała ciemność, w której zimnym, jasnym ogniem paliły się dwa płomienie.

Istniała tylko jedna świadomość... jedno życie Edwarda Bonda. Miałem tylko jedno życie.

Płomienie nachyliły się i zbliżyły do siebie.

Połączyły się w jeden.

Życie, dusza, świadomość Edwarda Bonda zostały wcielone do istoty Ganelona.

W miejsce dwóch płonących płomieni palił się teraz jeden. Tylko jeden.

Tożsamość Ganelona zgasła. Zniknęła, zamierając w szarzejącym mroku. Tymczasem ogień życia Edwarda Bonda buchnął jakby jeszcze wyżej.

Stanowiliśmy jedność. Staliśmy się...

Nareszcie Edward Bond! Już nie Ganelon. Już nie Władca Krainy Mroku ani Pan Caerów.

Magiczne czary Freydis unicestwiły duszę Ganelona, przyoblekając Edwarda Bonda w jego ciało.

Widziałem, jak umiera Ganelon!

Kiedy znów otworzyłem oczy, klęczałem na ołtarzu należącym niegdyś do Llyra. Ponad nami wzbijały się wysoko w górę puste, jakby zapadnięte sklepienia. Otchłań przestała istnieć. Nie było również ciała, które spoczywało na moim kolanie. Freydis uśmiechała się do mnie tym swoim wiecznie młodym, nie poddającym się czasowi uśmiechem.

- Witaj znów w Krainie Mroku, Edwardzie Bondzie - powiedziała.

Tak, to była prawda. Wiedziałem o tym. Zdawałem sobie sprawę, że moja tożsamość nie przestała istnieć, lecz schroniła się w ciele innego człowieka. Oszołomiony przymrużyłem oczy i z uczuciem zawrotu głowy wstałem powoli. Ciężko dysząc czekałem, aż Freydis przyjdzie mi z pomocą, dając się wesprzeć na swym białym, potężnym ramieniu. Wokół mnie wirowała opuszczona budowla. Ganelona już tam nie było. Zniknął wraz z otchłanią, szeszał jak dym, przepadł. Jak gdyby modlitwa, którą szeptał przed śmiercią, została wysłuchana przez jakiegoś nieznanego boga, do którego zanosił swoje modły.

Byłem znów Edwardem Bondem.

- Czy wiesz, dlaczego Ganelonowi udało się ciebie zwyciężyć, Edwardzie Bondzie? - spytała cicho Freydis. - Czy wiesz, dlaczego nie byłeś w stanie go pokonać? To nie było to, o czym on myślał. Wiem, że był przekonany, iż odczytuje twoje myśli, ponieważ w nich mieszkał. Prawdziwa przyczyna tkwiła jednak gdzie indziej. Kiedy człowiek walczy z samym sobą, mój synu, nie walczy po to, żeby zwyciężyć. Tylko samobójca nienawidzi siebie. Gdzieś w głębi tkwiła u Ganelona świadomość własnego zła i nienawiść do niego. Mógł uderzyć we własne odbicie, radując się z zadanego ciosu, ponieważ w głębi świadomości nienawidził siebie.

Jednak ty zdobyłeś szacunek samego siebie. Nie potrafiłeś zadawać tak silnych ciosów jak tamten, ponieważ nie ma w tobie zła. Ganelon zwyciężył i przegrał zarazem. W rezultacie nie walczył ze mną. Uśmiercił siebie samego, a w człowieku, który postępuje w taki sposób, nie ma woli walki.

Idź już, Edwardzie Bondzie. W Krainie Mroku jest wiele do zrobienia. - Głos Freydis przeszedł teraz w szept. Po chwili roześmiała się.

Wsparty na jej ramieniu schodziłem tymi samymi długimi schodami, którymi piał się w górę Ganelon. Wyszedłszy stamtąd ujrzałem zielonkawe światło dnia, lśniące liście, kręcących się ludzi, którzy wciąż czekali. Chociaż pamiętałem wszystko to, co pamiętał Ganelon, na świadomość Ganelona nałożona została na zawsze świadomość Edwarda Bonda. Wiedziałem również, że wyłącznie dzięki temu można panować nad Krainą Mroku.

Obaj stanowiliśmy na zawsze bliźniaczą parę w jednym ciele, nad którą ja - Edward Bond sprawowałem kontrolę.

Pustym sklepionym wyjściem wydostaliśmy się na zewnątrz. W zderzeniu z prześladowającymi nas wcześniej ciemnościami światło dzienne oślepiło nas na chwilę. Zaraz potem zobaczyłem leśnych ludzi, którzy z trwogą gromadzili się w przetrzebione szeregi wokół Caer. Dostrzegłem również pobladłą dziewczynę w zieleni, w aureoli falujących włosów, która odwróciła się do mnie twarzą promienną, chociaż przepojoną niedowierzaniem.

Zapomniałem o bolącym boku.

Kiedy wziąłem Arles w ramiona, jej włosy spowiły nas oboje jak mgła. Dobiegający z ust leśnych ludzi ryk triumfalnej radości przegrzmiał przez całą polanę i odbijał się echem od wielkiego Caer przez wszystkie puste otchłanie.

Kraina Mroku była wolna i należała do nas.

Ale... Medeo, Medeo, szkarłatna czarodziejko z Kolchidy, jakże wspaniale moglibyśmy włądać nią we dwoje!